

A close-up, high-contrast photograph of a woman's face. The focus is on her right eye, which is a striking, vibrant blue. Her eyelashes are dark and well-defined. To the left, a portion of her long, light-colored hair is visible. At the bottom right, the tip of her red lips is partially shown. The background is a soft, out-of-focus light color. The overall mood is intense and dramatic.

# **BĄDŹ CZUJNA**

**Paula Bartkowicz**

Paula Bartkowicz

Bądź czujna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2017

Paula Bartkowicz  
„Bądź czujna”

Copyright © by Paula Bartkowicz, 2017

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej  
publikacji nie  
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w  
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: Wioletta Tomaszewska

Korekta: Marianna Umerle, Zuzanna Laskowska

Projekt okładki: Jakub Kleczkowski

Skład: Jacek Antoniewski

Ilustracje na okładce: © Ipictures [1] – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-765-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

Byłam na arenie. Ciężko dyszałam. Bolały mnie ręce od częstego wymachiwania potężnym, żelaznym mieczem oraz nogi od biegania i skakania. Arena była ogromna, w kształcie elipsy. Miejsce boju było pokryte brudnym, ciemnym piachem, jednak gdyby głębiej zaryć mieczem, to można by było wygrzebać żużel, a następnie bardzo zbitą ziemię. Wokół stał wysoki na cztery metry kamienny, szary mur. W nim wbudowano trzy stalowe bramy złożone z pionowych prętów grubości nogi dobrze zbudowanego gladiatora. Nad murem znajdowało się miejsce dla publiczności. Siedzenia były z plastiku, lecz jedno obito dodatkowo złotem, dodano miękkie, wygodne poduszki i obszyto brązoworudym lisim futrem. Znajdowało się na najlepszym miejscu, także oglądanie walk było czystą przyjemnością. Inni musieli wyginać swoje ciała i wyciągać szyje, by cokolwiek zobaczyć. Nad tym cudownym miejscem w odległości kilkudziesięciu kroków znajdowała się sporych rozmiarów wieża. To tam sterowano holografami, tam znajdowały się dźwignie służące do otwierania bram i tam przebywali nauczyciele w momencie przeprowadzania egzaminu.

Ja jedynie ćwiczyłam. Miałam dwie dość głębokie rany na lewym ramieniu. Nie poddawałam się. Pomimo ogromnego bólu, pieczenia i uczucia, jakby ktoś rozrywał mi ramię na kawałki, trzymałam miecz oburącz. Muszę go zabić! Uchyliłam się przed rzuconą w moją stronę kolczastą kulą. Wykorzystałam sytuację. Do kuli doczepiony był metalowy

łańcuch. W locie oplotłam go wokół miecza i sprytnie skierowałam kulę w stronę mojego wroga – holograficznego trolla o wysokości około sześciu metrów. Nie było łatwo, chuderlakiem to on nie był. Tak jak zamierzałam, kulka przepięknie trafiła go w twarz. Kolec wbił się w oczodół i przebił mu oko. Kolejne trafiły w policzek i pod wpływem ciężaru rozrywały mu skórę na strzępy. Brunatna krew lała się strumieniami. Troll wył potężnym basem z bólu. Spojrzałam ponad jego głowę, na owo cudowne miejsce na widowni. Uśmiechał się. Widziałam to pomimo takiej odległości. W końcu to on nauczył mnie wykorzystywania każdej sytuacji i sposobności. Nie zamierzałam go zawieść. Rozpędziłam się, uniosłam miecz ostrzem do dołu i wyskoczyłam. Troll klęczał, ściskając się za policzek i chyląc głowę aż po same stopy. „Ten cios był idealny” – pomyślałam. Wylądowałam z rozmachem na jego karku i, nim zdążył jakkolwiek zareagować, wbiłam miecz z impetem prosto w rdzeń kręgowy. Dla swojej satysfakcji oraz w ramach zemsty za zranienie ramienia z całej siły przekręciłam go o 180 stopni. Z przyjemnością wsłuchiwałam się w chrupot kości, który odbijał się echem po murze. Troll padł i natychmiast zniknął.

Niestety nie stało się tak z moimi obrażeniami. Będę musiała znów odwiedzić szalonego uzdrowiacza i słuchać jego niedorzecznych historii. Muszę jednak przyznać, że niektóre były nawet śmieszne i ciekawe. Ale tylko niektóre... Odważnie spojrzałam na niego, na Wielkiego Mistrza, nauczyciela nad nauczycielami, najwspanialszego wodza,

bezwzględnego i cudownego władcę naszej mlekiem i miodem płynącej Trytii. Nie wszystkich zaszczycał swoją obecnością na egzaminach, a co dopiero na ćwiczeniach. Czułam się przeszcześliwa, kiedy widziałam go właściwie na każdym moich zajęciach. Cieszył mnie widok zazdrosnych kolegów i koleżanek i ich słowa wypowiedane przez zaciśnięte zęby: „Szczęściara”, „Nadal nie znudziło mu się patrzeć na twoje nieudolne triki?”.

Schowałam miecz do pochwy. Wspaniały powstał i klasnął dwa razy w dłonie. To była krótka, dość skromna pochwała, ale w mojej głowie te brawa brzmiały do samego wieczoru. Kiedyś byłam na niego zła, bo nie wiedziałam, dlaczego właśnie w taki przykry sposób mnie docenia. Jednak jego słowa szybko sprawiły, że moja postawa uległa zmianie. „Ktoś, kto jest genialny, nie potrzebuje ciągłych oklasków, wiwatów. On sam doskonale wie o własnej potędze i zna swoją wartość. Do nagród nie należy się przyzwyczajać, wtedy istnieje ogromne ryzyko utraty zdolności na rzecz dumy i pychy. A musisz jeszcze pamiętać, że nawet tym najlepszym zdarzają się pomyłki. Dzięki temu, że nie liczysz na pochwały, otoczeniu oraz tobie samej będzie lepiej przeżyć porażkę”. Czyż to nie wspaniałe słowa? Wówczas obiecałam sobie, że odtąd moimi wartościami w życiu będą skromność, posłuszeństwo i przyziemność. Nigdy nie stanę się egoistką i osobą chełpiącą się swoimi umiejętnościami. Nigdy!

Wielki Mistrz wraz ze swoją świtą i moim opiekunem Nathem zeszli z trybun. Kierowałam się do szatni, kiedy Bill,

asystent i prawa ręka Wspaniałego, odezwał się do mnie tubalnym głosem:

– Ann! Proszę, zostań tam, gdzie stoisz!

– Dobrze! – odkrzyknęłam, zaciekawiona tym, co się zaraz miało zdarzyć.

Patrzyłam, jak się do mnie zbliżają. Mój opiekun jak zawsze szedł jakiś smutny i pełen troski. Przecież rany to nieodłączny element walk. Fakt, może moje były zbyt głębokie, ale zaraz pójdę do Stephana, naszego wspaniałego uzdrowiacza, i wszystko wróci do normy.

– Ann – zaczął Wielki Mistrz, a ja stałam sztywno jak struna.

– Bardzo mnie dzisiaj zaskoczyłaś.

Ach, jego oczy. Uwielbiałam w nie patrzeć. Były koloru czekolady, stale się iskrzące, bijące życiem, charyzmą i pewnością siebie. Zatapiałam się w nich.

– Twoje umiejętności – kontynuował – z miesiąca na miesiąc przybierają na sile i są coraz większe. Chciałbym jeszcze zobaczyć, jak radzisz sobie z magią – uniósł czarną, gęstą brew. – Och, zapewniam, że wyśmienicie – nagle obok mnie pojawił się profesor Lex, nauczyciel sztuki wojennej. Wszystkie dziewczyny się w nim podkochały. Ja również, nie ma co ukrywać. Miał około trzydziestu lat, był wysoki, dobrze zbudowany, umięśniony (ale umiarkowanie) i zabójczo się uśmiechał. Przede wszystkim był dla nas bardzo miły, a niewielu nauczycieli takich było. Profesor ukłonił się Wspaniałemu.

– Panie Lex, skąd pan to wie? Nie uczy pan magii – Wielki spojrzał na niego lekceważąco. Nie wiem dlaczego, ale nie pałał do niego sympatią. Lex wyraźnie się speszył, a chciał dobrze.

– Oczywiście. Proszę o wybaczenie – spuścił wzrok i wycofał się do Akademii.

– Kiedy masz najbliższe zajęcia z magii? – Wielki znów na mnie patrzył.

– Za dwa dni, w piątek – odpowiedziałam posłusznie.

– Hmm, czyż to nie są zajęcia teoretyczne? – Wielki głąskał swój lekko zarośnięty podbródek.

– Tak, Panie. Praktykę mam w poniedziałki i wtorki.

– Dobrze. W takim razie w piątek będziesz zwolniona ze wszystkich zajęć – powiedział stanowczo, zagłębiając koniec swej mosiężnej, bogato zdobionej złotem laski w piasek.

– Oczywiście, Panie – skinęłam głową mocno zaskoczona. Jeszcze nigdy od dziewięciu lat mojej nauki nie byłam z niczego zwalniana. Zauważyłam, że Nath niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę.

– Resztę szczegółów omówimy wspólnie podczas kolacji. Przyjdź do mojego gabinetu o dziewiętnastej. Proszę, ubierz się z klasą.

Poczułam się zaszczyconą, choć muszę przyznać, że nieraz jadałam z nim posiłki i chodziłam na spacer. Niestety miał jeszcze dwie ulubienice – Rose i Amy. Nie dziwił mnie jego wybór. Rose była wybitnie uzdolniona muzycznie, więc często przygrywała Wielkiemu na fortepianie czy skrzypcach.



Z kolei Amy malowała jego portrety. Jednak w przeciwieństwie do nich nie rozpowiadałam wszem wobec, jakie to komplementy od niego słyszałam, jak mnie obejmował i przytulał. Wzbudzały tym ogromną zazdrość innych – wtedy miałam ochotę strzelić je w twarz. Nienawidziłam pychy i wyniosłości, przecież byliśmy traktowane jednakowo. Chociaż... Z tego, co zauważyłam, to ze mną Wielki rozmawiał najwięcej, czasami nawet od serca, ale nie miałam pewności, czy mówił prawdę.

– Tak, Panie – widziałam, że chce odejść, więc uklękłam na prawym kolanie ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Po sekundzie wstałam.

– Wiesz, jak bardzo lubię piękno – szepnął mi do ucha, kiedy mnie mijał. Lekko się zarumieniłam. Poczułam, że to był komplement. Piękno to ja. Ale może zbyt wiele sobie wyobrażałam. Nath złapał mnie za lewą dłoń.

– Nareszcie! Przecież ty jesteś ranna! Ciebie trzeba opatrzyć! Jeszcze mi się tu wykrwawisz! – gorączkował się. Lekko zachichotałam i objęłam go za szyję.

– Też cię kocham – wyszeptałam mu do ucha i pocałowałam w policzek. Uśmiechnął się. Ruszyłam w stronę gabinetu Stephana. Miałam dwadzieścia minut do zajęć fizycznych z profesorem Starsem. Lepiej dla mnie i dla moich przyjaciół, żebym się nie spóźniła.

\* \* \*

- Uwaga, może ostro zapiec – ostrzegł Stephan.

- Zdaję sobie z tego sprawę – uśmiechnęłam się kwaśno. Siedziałam na podwyższonym łóżku pielęgniarskim w kolorze mięty. Lekko machałam nogami z nerwów. Moje rany były gotowe do odkażenia. Niestety Stephan miał manię utrzymywania higieny, nie skąpił zatem wody utlenionej i innych środków odkażających.

- No to zaczynam – oznajmił. Najpierw pomalutku, raz po raz, dotykał ran. Ja jedynie zaciskałam zęby i powieki. Zauważył, że nie krzyczę i nie rzucam się, więc na dłużej przykładał wacik. To już cholernie piekło. Za każdym dotknięciem głośno syczałam. Czułam, jak łzy napływały mi do oczu.

- Nie moja wina, że nie umiesz się bić – zmienił zakrwawione waciki na świeże. Spojrzałam na niego gniewnie.

- Wygrałam – wyszczerzyłam zęby.

- Moim zdaniem pełny sukces jest wtedy, gdy po walce nie masz nawet zadrapania. Uwaga – znów przyłożył mokry wacik do ran.

- Rób to szybciej, a nie się guzdrzesz! – wykrzyczałam przez zaciśnięte zęby.

- Kochanie, uspokój się. Przypominam – podniósł uroczyście wskazujący palec – nie możesz mnie nawet tknąć – uśmiechnął się złośliwie.

- Co nie znaczy, że pewnego pięknego wieczoru ktoś niechcący nie zgasi światła na korytarzu, przez przypadek

podczas wchodzenia na schody nie popchnie cię i nie upadniesz wprost na swoją pomarszczoną buźkę – spojrzałam na niego złowieszczo. Widziałam, że się przestraszył, bo uśmiech zniknął mu z twarzy.

Zrobiło mi się go żal.

– Albo – przewróciłam oczami – podczas apelu spadną ci spodnie. Stephan kończył odkażać mi rany. Uśmiechnął się do mnie.

– No! Wiedziałem, że mnie lubisz! Przybij żółwika! – mówił uradowany. Uniosłam brwi.

– Jesteś dziwny – przybiłam żółwika i mimowolnie się uśmiechnęłam. Pielęgniarka Caroline bandażowała mi ramię. Stephan sprzątał buteleczki z lekarstwami. Miał około pięćdziesięciu lat. Siwe włosy porastały boki jego okrągłej głowy. Zawsze nosił biały fartuch, a pod spodem elegancki strój. Orli nos, lekko pomarszczona skóra, okrągłe okulary i oryginalna fryzura sprawiały, że wyglądał jak szalony naukowiec. Gabinet zielarski był jego rajem. To fakt, lubiłam go. To chyba przez jego oryginalność i pasję do przyrody. Oboje to uwielbialiśmy.

– Jaką masz teraz lekcję? – zagadał.

– Wychowanie fizyczne.

Caroline i Stephan spojrzeli na siebie znacząco. Co to miało znaczyć?

– Ściśnij rany jak najmocniej się da – rozkazał Stephan.

– Oczywiście – zaczęła silniej zwijać bandaże. Czułam, jak krew mi pulsuje. Jeszcze moment, a ramię będzie sine.

- To mi chyba nie pomoże ćwiczyć - jęknęłam.

- Uwierz, to dla twojego dobra. Stars nie da ci taryfy ulgowej - patrzył na mnie z troską.

- Zbyt wiele krwi już straciłaś. Jeden zły ruch i rany znów się otworzą. Nie potrzebujemy martwych uczniów.

Przeraziłam się.

- Przesadzasz - wymamrotałam. Caroline wyraźnie była przygnębiona, Stephan również spoważniał.

- Kolejna zmyślona historyjka? - dopytywałam.

- Chciałbym - nadal był poważny. Caroline skończyła bandażować mi ramię. Mogłam poruszać palcami, to dobrze. Krępującą ciszę przerwało wejście Faba, mojego kolegi z klasy. Był blady jak ściana.

- Matko, chłopcze, co ci jest? - Stephan podszedł do niego.

- Jest mi cholernie niedobrze - wyszeptał Fab. Spojrzał w moją stronę tak, jakby mnie nie rozpoznawał. Wyglądał tragicznie.

- Cześć, Ann - powiedział po chwili.

- Cześć - odpowiedziałam słabo. - To ja już będę szła.

Zeskoczyłam z łóżka i momentalnie zakręciło mi się w głowie. Niestety nie utrzymałam równowagi i upadłam. Caroline pomogła mi wstać. Podała też kubeczek zimnej wody. Stephan już szukał lekarstw dla Faba.

- Dotarło coś do ciebie wreszcie? - spytał, przekładając buteleczki. Wypiłam parę łyków wody.

- Ten dzień jest pechowy - wymamrotał Fab i widziałam, jak zbiera mu się na wymioty. Nie chciałam na to patrzeć.

– Idę, bo mam pięć minut do zajęć – powiedziałam na odchodne. Na szczęście strój sportowy miałam na sobie. Profesor Lex uczył nas, że nie zawsze będzie czas i sposobność na zakładanie zbroi. Z obrażeniami też trzeba umieć walczyć.

– Ann! – krzyknął Stephan. Odwróciłam się. – Zapraszam wieczorem na zmianę opatrunku – mrugnął do mnie.

– Jasne – uśmiechnęłam się. Pewnie poczęstuje mnie pysznym cukierkiem „za odwagę”. Widziałam, jak Caroline szybko sięgała po wiadro dla Faba. Wyszłam czym prędzej z gabinetu. Świeże powietrze pomoże mi dojść do siebie.

\* \* \*

– Jasna cholera! Od kiedy te korytarze są takie długie?! – przeklinałam w myślach. Minęłam właśnie zegar. Pozostały mi dwie minuty, a tu jeszcze ze cztery korytarze do przejścia! Nie ma opcji, nie mogę się spóźnić. Zacisnęłam zęby i zaczęłam biec. Czułam mocne bicie serca, pot na plecach i czole, coraz silniejsze wypieki na policzkach. Za duże osłabienie. W pewnym momencie przeraziłam się, że nie poradzę sobie na zajęciach, jednak szybko odsunęłam tę myśl. Dam radę. Najwyżej później będę umierać, ale to będzie już po zajęciach. Wreszcie dopadłam drzwi na tor ćwiczeniowy. Poczułam, jak chłodny, wczesnowiosenny wiatr owiewał moje rozgrzane ciało. Przeszedł mnie dreszcz. Przystanęłam na moment, aby wyrównać oddech. W moją stronę biegła dziewczyna o pięknych, gęstych włosach barwy

czekolady, uczesanych w kok. Była drobnej postury. Miała okrągłą twarz, śliczne, zielonkawe oczy, malutki nosek oraz usta stworzone do uśmiechania. W tym momencie jej mimika ukazywała troskę i trwogę.

– Ann! Nic ci nie jest? – dolna warga wyraźnie jej zadrżała. To była Diana. Moja najlepsza przyjaciółka. Dzieliłyśmy pokój. To osoba, na której zawsze mogłam polegać. Gdy tylko spojrzałam w jej oczy, poczułam ulgę i radość. Tak jakby to jedno spojrzenie rozwiązywało wszelkie problemy.

– Nic. Wszystko jest O.K. – uśmiechnęłam się i dodałam z niepokojem – Już zaczął?

– Jeszcze nie – poczułam, jak moje mięśnie uwalniają się z ucisku. Zdażyłam. Kiwnęłam głową.

– A to? – Diana uniosła brwi i wytrzeszczyła oczy. – Co to ma być? – wzrokiem wyraźnie wskazywała na bandaż.

– Ach, to... – zaczęłam iść w kierunku kolegów z klasy. – To nic takiego, jedynie drobna rana – puściłam jej oczko zza ramienia, lekko się uśmiechając. Nie będę jej martwiła. Przyjaciele tego nie robią. – Chodź, chyba że chcesz się spóźnić na zbiórkę – dodałam, bo Diana nadal stała jakby wrosła w ziemię. – I kto to mówi... – odburknęła niezadowolona z mojej odpowiedzi. Po chwili mnie dogoniła. Zmierzyła mnie wzrokiem i patrzyła już tylko przed siebie. Zaśmiałam się.

– No, już dobrze – dźgnęłam ją łokciem w żebra, na co skuliła się z wyraźnie hamowanym śmiechem. – Opowiem ci wszystko, jak tylko znajdziemy się w pokoju.

- Ale bez żadnego pomijania! - uniosła palec wskazujący.

- Obiecuję - odpowiedziałam uroczyście. Dołączyliśmy do klasy.

- I jak ci poszło? - przyjaźnie spytał Albert. Już miałam odpowiedzieć, kiedy rozległ się głęboki, leciutko zachrypnięty głos Starsa.

- Bacność! - ryknął. Wszyscy momentalnie stanęli w dwuszeregu. Przez to, że Diana była ode mnie wyższa, zawsze stałam przed nią. Dyskretnie rozejrzałam się na boki. Ludzie byli wyraźnie zdenerwowani. Zrozumiałam, że kogoś brakowało. Poczułam, jak dłonie momentalnie robią mi się zimne. Czekala nas kara. To pewne. Naprzeciw nas stanął Stars - potężny, umięśniony, opalony, z lekkimi zmarszczkami, mający chyba dwa metry wzrostu. Był niemożliwie silny, władczy, pewny siebie. Jeszcze nigdy nie widziałam u niego szczerego i naturalnego uśmiechu. Każdego przerażał. Wodził po nas wzrokiem. Każdy patrzył przed siebie, jedynie na ułamek sekundy zerkając na nauczyciela, aby tylko nie nawiązać z nim kontaktu wzrokowego. Zauważyłam, że na jego twarzy zagościł lekki, szyderczy uśmiech, a oczy wyrażały chłód i złowieszczość. Zapewne teraz obmyślał już dla nas karę. Otworzył swój zeszyt i zaczął sprawdzać obecność. Po kolei, alfabetycznie, z posłuszeństwem odpowiadaliśmy: „Obecny!”, „Obecna!”.

- Krall! - wykrzyknął Stars, a mi prawie serce stanęło. Przecież to nazwisko Faba! To jego tutaj nie ma! Nastąpiła cisza.

Stars jeszcze raz szyderczo się uśmiechnął. Już prostował

rękę, aby odsłonić zegarek i liczyć minuty spóźnienia, które równały się czasowi odbywanej przez nas kary, chyba że uczeń mocno zachorował. Wtedy Stars dostawał notkę od Stephana i opiekuna tego ucznia, że jest on niezdolny do wykonywania ćwiczeń i nie pojawi się na zajęciach. Obywało się wtedy bez konsekwencji, ale uczeń musiał nadrabiać opuszczone godziny. Na innych lekcjach nie miał takiego obowiązku, jedynie na wychowaniu fizycznym. Absurd. W tym samym momencie, gdy Stars zaczął odliczać pierwsze sekundy, Fab wbiegł na tor.

– Jestem, profesorze. Przepraszam, ale dzisiaj jestem w niedyspozycji – Fab ledwo trzymał się na nogach. Był podmuch wiatru mógłby go przewrócić. Podał notkę Starsowi. Spojrzeliśmy po sobie z nadzieją, że kary nie będzie.

– Co ty sobie, śmieciu, myślisz? – wypalił Stars. Byliśmy w szoku. Czyżby ośmielił się podważyć ważność notki? Fab również nie wiedział, co się dzieje. Myślałam, że zaraz upadnie. Zesztywnieliśmy ze strachu. Fab z trudem przełknął ślinę.

– Panie profesorze... – zaczął słabo i umilkł. Wzrok Faba i Starsa zetknął się jedynie na ułamek sekundy. Chłopiec od razu zaczął patrzeć w ziemię.

– Na wszystkich poprzednich lekcjach byłeś, a teraz jaśnie panienka zgłasza niedyspozycję? – Stars mówił bardzo stanowczo. Przecież to normalne, że człowiek może nawet umrzeć z minuty na minutę!

– Ja... – podjął próbę tłumaczenia się, ale po raz kolejny – i ostatecznie – strach wziął nad nim górę.



– Ech, padlina z ciebie, nic więcej! – warknął Stars. Notkę schował do zeszytu. Nie potrafiliśmy się jednak odprężyć. Coś złego miało się stać za moment, czuliśmy to. Profesor podszedł do Faba.

– Jak dostaniesz się w ręce wroga, to też okażesz mu taką słabość?! – wykrzyczał. Przymknęłam na moment oczy. Dzisiejsze zajęcia nie mogły się skończyć dobrze. Odetchnęłam głęboko. Musiałam przygotować się psychicznie na najgorsze.

– Przed babą też zaczniesz dukać, że nie chlałeś piwa, chociaż jebie od ciebie na kilometr?! – Stars coraz bardziej się nakręcał. – Chłopie! Gdzie ty masz jaja?!

– Schowane głęboko pod brzuchem – zarechotali chłopcy. Stars głośno cmoknął i uderzył Faba otwartą dłonią w tył głowy. Chłopak lekko się zgarbił. Profesor popatrzył na nas z groźnym błyskiem w oku.

– Wpadłem na genialny pomysł! – z zadowolenia aż zatarł ręce. – Poćwiczmy dzisiaj w parach.

Wstrzymałam oddech. Chłopcy spowaźnieli.

– Co, już nie jest wam do śmiechu? – Stars był wyraźnie zadowolony. – I tak jestem dla was zbyt łaskawy. W związku z tym, że przez tę wywłokę nie będzie jednej pary, zmienimy trochę zasady. Felix, ty zostałeś sam.

Chłopiec lekko zadrżał, ale natychmiast się opamiętał.

– Tak jest, panie profesorze – odpowiedział wyprostowany, patrząc w oczy Starsowi. Na twarzy nauczyciela zawitał półuśmiech.

- Nigdy na polu walki nie zostawiacie swojego kompana!

Czy to jasne?

- Tak jest! - odkrzyknęliśmy równo. Co ten wariat planował?

- Zatem Fabowi, mimo tej notki, należy się mała kara - Stars wyraźnie się skrzywił i uniósł jedną brew. Jednak nie dał mu spokoju.

- Felix, masz idealną okazję poćwiczyć odmierzanie odpowiedniej zemsty do zdrady przyjaciela.

Fab miał kłopoty. Felix od początku go nienawidził. Dla żartów tłumaczył, że za twarz, ale musiało chodzić o coś więcej.

W sercu poczułam lekką litość dla chłopaka.

- Podejmujesz się tego? - spytał z przekąsem Stars. Zauważyłam kątem oka, jak Felix lekko się uśmiecha.

- Dla dobra nauki - zawsze! - odpowiedział.

- Wyśmienicie. Wasza dwójka poćwiczy sobie tu, na uboczu.

Jednak nie myślcie sobie, że nie będę miał was na oku!

Felix podszedł do Faba. Zmierzyli się wzrokiem i momentalnie zauważyłam zaciętość na twarzy schorowanego. Może i przed profesorem się jąkał, ale nie wiedziałam, czy Felixowi ustąpi tak łatwo. Chociaż, prawdę mówiąc, nie miał innego wyjścia. Bunt tylko pogorszyłby jego sytuację. Miałam nadzieję, że był tego świadomy.

- A zasady zmienimy dość nieznacznie. Chyba wasze małe mózdzki już przeanalizowały sytuację i wiecie, z kim

jesteście w parze – powiedział Stars. Mimowolnie wytrzeszczyłam oczy. Tylko nie to!

– Pierwszy szereg w tył zwrot! – rozkazał profesor. Stałam twarzą w twarz z przerażoną Dianą.

\* \* \*

Ktoś by pomyślał – czemu sracie w gacie? Chyba lepiej ćwiczyć z kimś, mieć wsparcie? Zacieśniacie też więzi. A ja odpowiem krótko – gówno prawda. Tego typu zadania zdarzały się bardzo rzadko, raptem raz lub dwa w roku. Było to zawsze niespodziewane. Stars doskonale wiedział, że ustawiając się w szeregu, wybieramy osoby, które najbardziej lubimy bądź z którymi dobrze się dogadujemy. Wyjątek stanowił Fab z Felixem. Sami siebie nie wybrali, ale jako jedyni zostali bez partnerów. Złączył ich pech. Profesor, mając nasze ustawienia na uwadze, nigdy, aż do tej chwili, nie uważał tych dwójek za pary do ćwiczeń – raczej do zacieklej rywalizacji. Powodu nikt nie znał, ale mnie się wydawało, że chodziło mu o pobudzenie nienawiści do przyszłego wroga, a nie własnego kompana. W końcu w grupie siła. Osobiście uważałam, że nie była to dobra forma nauczania. Fakt, ćwiczyliśmy swoje mięśnie, hart ducha, panowanie nad bólem i zmęczeniem, ale dzięki temu narobiliśmy sobie nowych wrogów. Ludzie nie potrafili oddzielić tego, co było przed, i po wysiłku. Nie. Wróg pozostawał wrogiem. Poza tym to nie były zwykłe ćwiczenia. Były one sto razy bardziej wycieńczające od tych

codziennych. Dochodziła do tego jeszcze przeogromna chęć bycia pierwszym w parze. W trakcie naszej godzinnej, samodzielnej rozgrzewki Stars wybierał sobie przeszkody z wielkiego toru, ustawiał jedną po drugiej w pionowej linii. Było ich dwanaście, ale na tamtą chwilę dziesięć, czyli każdy miał swoją własną przestrzeń do ćwiczeń. Nasza rywalizacja trwała kolejną godzinę. Po tym czasie jedyne, co nam się marzyło, to położyć się w łóżku, z nikim nie rozmawiać, wsłuchać się w ciszę. Najlepiej oczywiście mieli zwycięzcy. Nie dość, że dostawali ocenę bardzo dobrą, która miała ogromne znaczenie na zakończenie roku, to jeszcze – by zregenerować siły – otrzymywali pyszny, czekoladowy cukierek z kremem śmietankowym. Słodycze były ściśle wydzielane – że niby puste kalorie, będziemy otyli i to nie pomaga w utrzymaniu zdrowego trybu życia. Przegrani... No cóż, czuli się nimi nawet przez parę kolejnych dni. Po zajęciach odbywali karę. Dwa razy zdarzyło mi się być w tej grupie. Musiałam biegać wokół zamku, szkoły, toru ćwiczeniowego. Łącznie było to parę kilometrów. Nie można było truchtać, trzeba było normalnie biec i absolutnie nie wolno było się zatrzymywać. To był cholerny wysiłek. Ludzie po parunastu minutach potykali się o własne nogi. Stars biegł za nami – świr o wiecznie dobrej kondycji. Jak dojrzał takiego, który nie dawał sobie rady, stawiał go na siłę na nogi, motywując do dalszego wysiłku przez zwyzywanie, zrównanie z błotem... Ach, cały on. Jednak profesor miał niewiele cierpliwości, więc gdy napotkał kolejną osobę leżącą i ledwo łapiącą oddech, standardowo wydzierał się, a w

przyływie złej energii kopał ją i bił bez opamiętania. To było straszne. Oczywiście mogliśmy na niego donieść, ale nie mieliśmy dowodów. Przecież taki osobnik mógł się potłuc podczas wykonywania ćwiczeń. Dodatkowo nikt nie chciał zadzierać ze Starsem. Znosiliśmy jego humorki bardzo dzielnie. Już prawie kończyłam bieg i... upadłam. Matko, jak ciężko było mi się podnieść! Próbowałam dwa razy.

– Ann! Stałaś się szmatą do wycierania podłogi? – ryczał z daleka Stars. Przeraziłam się. Zebrałam ostatnie siły i wstałam. Biegłam ostatnie metry ze łzami w oczach. Cały wieczór wymiotowałam, a na drugi dzień nie mogłam ustać na nogach. Ćwiczenia fizyczne mieliśmy codziennie. Zaopiekowali się mną Nath, Diana i Stephan. To od tamtej pory złapałam lepszy kontakt ze szkolnym lekarzem, aż w końcu stał się dla mnie jak ojciec, którego nigdy nie miałam. Matki zresztą też. Obiecałam sobie, że choćbym miała grać nie fair, nigdy więcej nie będę na straconej pozycji. Ćwiczyłam wtedy z Clerem. Jebany pupilek Starsa. Ostatnim zadaniem był bieg przez płotki. Byłam z nim na równi. Wiedziałam, że go nie wyprzedzę. Podczas skoku wymachiwałam mocno nogą i uderzałam w sąsiadujące płotki. Przesuwałam je tuż przed skokiem Clera, aż w końcu ten stracił równowagę, zahaczył stopą o drewno i upadł. Tego się nie spodziewałam. Z całych sił przyspieszyłam i... udało się! Byłam pierwsza! Cler dobiegł po chwili.

– Suka – wycedził przez zęby i uderzył mnie w bark. Uśmiechnęłam się tylko złowieszczo.

– Nie wiedziałaś, że z niej taka szmata? – dołączył się

Felix.

Z nim też kiedyś ćwiczyłam, ale wygrałam uczciwie.

– Morda, ludzie – uciął krótko Albert. Jego wszyscy poważali, bo jego ojciec był Senatorem, czyli jednym z bliskich doradców Wielkiego Mistrza. Diana ćwiczyła z Zerbem, przyjacielem Clera. Biedactwo, przez swoje słabe ciało tylko raz była na zwycięskiej pozycji. Modliłam się, żebyśmy razem wróciły do pokoju i żebym nie musiała jej opatrywać. Oboje kończyli bieg przez liny. Byłam w szoku, że Diana mu dorównywała. Nagle Zerb niby to zaplątał się w ostatnią linę, poskakał na jednej nodze i runął na Dianę. To było tak niespodziewane, że biedna nie zdążyła się obronić i z całą siłą uderzyła kolaniem w zbitą ziemię.

– Diana! – ryknęłam, a chłopcy zaczęli zwijać się ze śmiechu.

– Ja pierdołę, co za łajza – komentował Evel, drugi przyjaciel Clera. Dziewczyna zwinęła się w kłębek. Wiedziałam, że Zerb wymierzył idealnie, żeby być pierwszym i mi dopiec w imieniu Clera. Myślałam, że mnie rozniesie.

– Diana! Ruszaj to spasiono dupsko! – krzyknął Stars. Tyle nienawiści w ciągu jednej sekundy. Chciałam wszystkich pozabijać. Zerb już był na mecie i z dumą się do mnie uśmiechał. Przybił piątkę kolegom. W moich myślach płonął żywcem na stosie. Diana nadal nie mogła wstać. Niewiele myśląc, ruszyłam w jej stronę. I tak już przegrała. Pomogłam jej stanąć na nogi. Doprowadziłam ją do mety. Była zalana łzami, kolano miała mocno zdarte i potłuczone.

– Chwila, moment! Co to miało być? Według zasad każdy

ma radzić sobie sam, a Diana powinna czekać na profesora! – złościł się Cler. Nie zwracałam na niego uwagi.

– Masz rację, chłopcze – wypowiedział się Stars. – Złamałaś warunki.

– Co profesor ma na myśli? – byłam w bojowym nastroju.

– Skarbie, od pomagania jestem ja. Diana spokojnie wstałaby sama. A ty czego ją uczysz? Później na wojnie będzie taką rozlazłą masą – spojrzał na nią z pogardą.

– Według pana zasad mamy wspierać swoich kompanów – nie spuszczałam z niego wzroku. Nie obchodziły mnie konsekwencje i to, co zdarzy się później. Pałałam wściekłością. Niektórzy chłopcy nieznacznie chrząkali i patrzyli w ziemię.

– Podczas tych ćwiczeń działasz sama, nie masz kompanów – Stars wyraźnie zaczął się denerwować. – To nie moja wina, że nie rozumiesz prostych zasad, zakuty łbie.

Diana coraz mocniej szlochała.

– Profesor tak jej to zapomni? – odezwał się Cler.

– Absolutnie. Ostatnie słowo należy do mnie – podszedł bliżej. – Skoro tak chcesz pomagać innym, to podzielisz los swojej przyjaciółeczki – na jego twarzy pojawił się półuśmiech.

Prychnęłam. Chociaż było to niesprawiedliwe, walić to.

– Zgoda – wymamrotałam. Chłopcy zarechotali. – Następnym razem bądź grzeczną dziewczynką – powiedział słodkim głosem Cler i przejechał palcem wskazującym po mojej twarzy.

Spojrzałam na niego złowieszczo.

– Jak się czujesz? – spytałam Dianę.

– Za każdym razem mnie zaskakujesz, Ann – powiedział Albert i poszedł po butelkę wody. Czego on ode mnie chce?

– Nie płacz. Musisz zebrać siły na karę – poleciłam Dianie.

– Damy radę.

Kara była okropna, zresztą jak zawsze. Stars kazał nam stanąć na podstawki. Nad nami był drążek.

– A teraz hop. Łapiecie za pałki i wisicie. Jesteście zdani na siłę własnych rąk – powiedział profesor. Świetnie. Drążek był wysoko, więc wszyscy musieli mocno podskoczyć. Usłyszałam, jak Diana jęknęła. Nagle zabrali nam podstawki i poczułam przeszywający ból w łydkach.

– Raz! – zagrzmiął Stars i zaśmiał się. O co chodzi?! Poczułam, jak drugi raz zapiekły mnie łydki.

– Dwa! – wyliczał rozbawiony Stars. – Tępe dzidy z was. Widzę zagubienie w waszych oczach. Wisicie, wasze dłonie coraz bardziej wam się pocą, ręce bolą, a za wami wasze były połówki z treningu chłostają was trzciniowymi pałkami. Oczywiście są odpowiednio dobrane pod względem ostrości – mrugnął do nas. Znów poczułam ciepło w okolicach ud oraz to, że dłonie zaczynają mi się się ślizgać.

– Trzy! – wykrzyknął profesor. – Ach! Byłbym zapomniał. Wasza kara się skończy, kiedy doliczę do trzydziestu. Jak widzicie, uderzenia mogą być raz za razem, ale może być też dłuższa przerwa między nimi. W końcu kara musi was czegoś nauczyć i zapaść w pamięci – Stars wygodnie rozsiadł się na



plastikowym krzeselku i popijał sok z butelki. Diana nie wytrzymała, puściła drążek. Przymknęłam na chwilę oczy.

– Podstawka, hop, zabieramy podstawkę i zaczynamy liczyć od nowa – znów zawitał na jego twarzy półuśmiech. – Każdy, kto spadnie, wskakuje z powrotem, a odliczanie dla wszystkich zaczyna się na nowo.

Znów poczułam ciepło na łydce, a po chwili okropne pieczenie – właśnie rozcięto mi skórę. Wyobrażałam sobie, jaką Cler czerpie z tego przyjemność. Odbywanie kary trwało dwie godziny. Moje nogi były całe zakrwawione. Diana była ledwo żywa, zrezygnowana. Było mi jej szkoda.

– Chodź. Idziemy do Stephana – wyszeptałam i wzięłam ją pod ramię.

– Ann... – zamilkła na chwilę i rozplakała się. – Dziękuję ci... – Cicho, cicho – mruczałam. – Od tego są przyjaciele.

Nagle obok Diany pojawił się Albert i wziął ją pod drugie ramię. Był w grupie zwycięzców. Jego kompan miał lekko tylko zakrwawione nogi, także spokojnie mógł jeszcze biegać. Nie było więc powiedziane, z jaką siłą należało bić. Moja złość na Clera i Zerba wzrosła do maksimum. Albert odprowadził nas pod sam gabinet lekarski.

– Macie – podał nam wygranego cukierka. Zaskoczył mnie.

– Zasłużyłeś na niego – zamknęłam mu dłoń i lekko się uśmiechnęłam.

– Nie – powiedział twardo i przykrył moją dłoń swoją. – Nie dorastam wam nawet do pięt.

Zrobiło mi się bardzo miło. Jego ręce były bardzo miłe

w dotyku. Ciepłe i takie męskie jak na dziewiętnastolatka. Nagle usłyszałam huk. Diana zemdlała. Szybko pomogłam jej wstać.

– Och, widzę kolorowe plamki... Ann... Ann! Gdzie jesteś?!

– panikowała dziewczyna.

– Jestem, jestem obok. Czujesz? Trzymam cię.

– Tak... tak... – mamrotała.

– Idźcie szybko do Stephana. Widzimy się później – pomachał nam Albert. Zdziwiło mnie jego ciepło. Zawsze był chamski, opryskliwy, twardy. Kiedy wróciliśmy do pokoju z zabandażowanymi nogami, na nocnym stoliku leżał cukierek. Uśmiechnęłam się. Obok niego była karteczka, a na niej napis: „Jak tego nie zjecie, to się zezłoszczę. Chyba nie chcesz mieć kolejnego wroga, Ann? Z groźbą, Albert”.

– Ech, niech ci będzie – podzieliłyśmy go na pół i ze smakiem zjadłyśmy.

\* \* \*

– No to rozgrzeweczka – zatarł ręce Stars. – Ach, dzisiaj taka piękna, słoneczna pogoda – poszedł w stronę toru, żeby wybrać przeszkody. Kto by pomyślał, że taki twardziel rozczulił się pod wpływem ciepła. Może on też ma serce? Żartowałam.

– Ann, ja nie chcę... – zaczęła Diana, już lekko spanikowana.

– Cicho! – przerwałam jej stanowczo. Wzięłam głęboki

wdech, powoli się uspokajałam. – Damy radę. Bez żadnych forów. Ćwiczymy zgodnie ze swoimi możliwościami.

Natychmiast ruszyłam truchtem. Diana, widocznie zasmucona i podłamana, została w tyle. Nie miałam już na nią sił. Jej pesymizm, częste przerażenie i panikowanie dobijały mnie. Wydawało mi się, że dawniej była inna, odważniejsza, nie stroniła od wysiłku fizycznego, chociaż jej ciało wyraźnie nie było do tego stworzone. Pamiętałam nasze pierwsze spotkanie w pokoju. Weszłam cichutko, byłam bardzo zestresowana. Nie lubiłam poznawać nowych ludzi i nigdy nie polubię. Musiałam jeszcze w dodatku mieszkać z tą dziewczyną, dzielić z nią przestrzeń. Wcześniej miałam własny pokój w innej części zamku, z dala od akademika. Jednak Wielki Mistrz uznał, że pomimo iż jestem jego wychowanką, powinnam przestrzegać zasad i zamieszkać z kimś z klasy. Ja i Diana byłyśmy jedynymi dziewczynami, więc szybko nas połączono. Tydzień przed rozpoczęciem roku pownosiłam swoje rzeczy, poukładałam kosmetyki i ubrania. Nie wybrałam łóżka, uznając, że należy się dogadać ze współlokatorką i zacząć znajomość bez zbędnych kłótni. A więc stałam przy drzwiach, przyglądając jej się, jak wyciągała ubrania z walizki i kładła na łóżko. Nuciła śliczną melodię. Zastanawiałam się, co ona robiła w naszej klasie wojennej. Powinna była zapisać się do artystycznej. Miała na sobie krótką sukienkę biszkoptowej barwy z małą kokardką na plecach. Włosy związane w kucyk sięgały jej aż do pasa. Zrobiło mi się przykro – będzie musiała je ściąć przynajmniej do ramion. Westchnęłam i wtedy Diana się obróciła.

Mimowolnie zastygłam. Dziewczyna poprawiła kosmyk i uśmiechnęła się.

– Och, wystraszyłaś mnie – zaśmiała się i podeszła bliżej.  
– To z tobą dzielę pokój?

– Tak – ledwo wydobyłam z siebie głos.

– Jestem Diana – uścisnęłyśmy sobie dłonie.

– Ann – popatrzyłam na nią uważnie. Uśmiech z jej twarzy powoli zniknął. Zrobiła się lekko zakłopotana.

– Ta Ann? – dopytywała, a mnie zrobiło się nieswojo.

– Mor, wychowanica Wielkiego Mistrza – moja twarz przybrała kamienny wyraz – Ann Mor.

– Wybacz, że nie rozpoznałam cię od razu – powiedziała słodkim głosem. Wiedziałam, że tak będzie. W każdej szkole tak reagowali, od nauczycieli po kolegów z klasy. Co, byłam niby na specjalnych usługach?! Byłam taka jak inni! Dlaczego nikt nie mógł tego zrozumieć? I co, kolejna klasa miała się tak zacząć?

– Przestań – wysyczałam i podeszłam do łóżek. – Które wybierasz?

Stałam odwrócona do niej plecami.

– Zdecyduj sama – mówiła bardzo uprzejmym głosem.

– W takim razie wybieram oba – obróciłam się do niej. Diana stanęła jak wryta.

– Słucham? – zająknęła się.

– Dałaś mi wolną rękę – lekko się uśmiechnęłam. – Ja ją tobie też dam. Który skrawek podłogi chcesz mieć za legowisko? – ciągle ją obserwowałam. Dziewczyna wyraźnie

nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Cichutko prychnęła.

– No tak. Mogłam się tego spodziewać. W końcu tobie wolno wszystko – odparła z wyrzutem w głosie. Znałam pogłoski na swój temat. Zadufana w sobie, rozkazująca innym, egocentryczna, zważająca tylko na swoje problemy i potrzeby suka. Dlatego do szesnastego roku życia nie miałam przyjaciół. Jedynymi moimi towarzyszami w życiu byli Wielki Mistrz, od czasu do czasu Bill, Bethy – jedna z kucharek – oraz Ares, pies Wielkiego. Nikt w moim wieku.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedziałyśmy równocześnie. Spojrzałyśmy na siebie, ja z obojętnością, Diana z gniewem. Chciało mi się z niej śmiać, bo tak uroczo zmarszczyła brwi. Do pokoju wszedł mężczyzna około trzydziestki, dość wysoki, dobrze zbudowany. Ubrany był w szary uniform, czyli koszulkę z długim rękawem, spodnie, czarne lakierki, kamizelkę od marynarki ze złotymi guziczkami oraz długi do kostek płaszcz zapinany złotą klamrą na płaskim brzuchu. Jego czarne włosy były lekko nażelowane. Piwne oczy kontrastowały z jasną cerą. W dłoniach trzymał jakiś pakunek.

– Dzień dobry, dziewczynki. Jestem Nath – tu lekko się uklonił. – Przez pięć kolejnych lat będę odgrywać rolę waszego Opiekuna. Wszelkiego rodzaju smutki, żale, problemy, radości i pomysły dzielcie ze mną – uśmiechnął się szeroko – Jestem na wasze rozkazy.

Moją pierwszą myślą było: „Uwaga, bo ci zaufam. Jestem pewna, że wszystko, co ci powiem, przekażesz od razu Billowi. Macie utrzymać nas w dobrej kondycji psychicznej,

nic więcej”.

– Każdy duet ma swojego Opiekuna – ciągnął – A tutaj mam dla was uczniowskie uniformy.

Diana pierwsza ruszyła po pudełko. Lekko się uśmiechnęłam.

Chciała pokazać, że nie dała się zdominować.

– Pozwolicie, że szybciotko przedstawię wam zasady, harmonogram i tak dalej – mówił przyjacielsko Nath.

– Jasne – zrobiłam obojętną minę. – Klapnij sobie – wskazałam na krzesło stojące przy biurku pod oknem.

– Dzięki – uśmiechnął się. Diana wyjmowała ubrania. Nasze uniformy były czarne – koszulka z krótkim rękawkiem, czerwonym kołnierzykiem i guziczkami, lekko rozkloszowana spódniczka do kolan, podkolanówki, trampki oraz żakiet z głębokim dekoltem zapinany na jeden guzik w kolorze dojrzałej wiśni. Na nim, po stronie serca, na wysokości klatki piersiowej, wyszyty był herb naszej szkoły, czyli dwa splecione czerwone węże na czarnym tle.

– Stylowe te ubranka – zachwycała się Diana.

– Yhm... – Nath zaczynał się rozluźniać. – Widzę, że już się prawie zadomowiliście. Jak się podzieliliście? – wykazywał nami szczere zainteresowanie. Imponowało mi to. Każdy pokój uczniowski wyglądał tak samo. To od nas zależało, jak go sobie przystroimy. Wszystko było podwójne: łóżko, biurko, krzesło, stolik nocny, szafa – tak, żeby każdy miał coś swojego. Meble ustawione były wobec siebie symetrycznie, jak odbicie lustrzane. Najdalej, w samym końcu pokoju stały

łóżka, obok stoliki, bliżej wejścia – biurka, a prawie przy samych drzwiach – szafy. Pomieszczenie było dość małe jak na dwie osoby, ale można było spokojnie się przemieszczać. Podział był więc prosty – na lewą i prawą stronę pokoju. Już chciałam odpowiedzieć na pytanie Natha, ale Diana mnie ubiegła.

– Moja część jest pod oknem – odpowiedziała spokojnie i spojrzała na mnie stanowczo. Uśmiechnęłam się do niej. Moja twarz przybrała pogodniejszy wyraz.

– A moja pod ścianą – dopowiedziałam. Byłam pewna, że ta dziewczyna będzie kolejną osobą, która wolałaby mnie unikać, prędeż zejść z drogi niż podjąć dyskusję. Jednak się myliłam.

– To świetnie, dziewczynki – Nath klasnął w dłonie. – To już wam nie zabieram dużo czasu. Rytm dnia codziennego wygląda tak: o szóstej pobudka, ja was będę budzić. Macie pół godziny, żeby zejść do jadalni na śniadanie. O ósmej zaczynacie zajęcia. Godzina lekcyjna to zwykła godzina zegarowa. Każdego dnia macie po siedem takich godzin, czyli kończycie o piętnastej. Macie do wyboru jeszcze kółka zainteresowań. Są one jednogodzinne, po zajęciach. Musicie wybrać chociaż jedno: ziołarstwo, astronomię, kuźnię, gotowanie. Możecie również wszystkie cztery. Obiad macie o siedemnastej, później – czas wolny, a o dziewiętnastej – kolacja. Z wybiciem godziny dwudziestej drugiej zaczyna się cisza nocna, a grzeczne dziewczynki idą spać – mrugnął do nas, a my się uśmiechnęłyśmy. – Co do zasad. W ciągu dnia zachowujemy względny spokój i ciszę w pokojach. Musi być

też ład i porządek. Nie ma podjadania między posiłkami, a słodycze są bezwzględnie zakazane. Nie bijemy się, a szanujemy wzajemnie. Zamek opuszczamy tylko z przepustką, którą możecie otrzymać od zastępcy Wielkiego Mistrza, Billa, lub ewentualnie od samego Władcy. Rodzinę odwiedzacie raz na miesiąc w wyznaczony weekend. W razie jakichkolwiek problemów zdrowotnych idźcie do szkolnego lekarza, ma gabinet na parterze – Nath skończył wywód i patrzył na nas zadowolony. Spojrzałyśmy po sobie z Dianą. Wiedziałam, że nie zapamiętała wszystkiego, ale wstydziła się przyznać.

– Ja... się tak trochę... pogubiłam – przetarłam czoło ręką.

– Tak myślałem – zaśmiał się Nath. – Mam tu wszystko spisane. Proszę – podał nam kartkę z nagłówkiem: „Regulamin”. Obie jednocześnie spojrzałyśmy na niego z poirytowaniem. Opiekun zaczął się śmiać.

– Idealna interakcja – uśmiechał się do nas. – Myślę, że się dogadacie, dziewczynki. Ach, i mam dla was jeszcze plan lekcji. Kiedy jesteście sami, możecie mi mówić po imieniu – i wyszedł. Wzięłam swój uniform i podeszłam do szafy pod ścianą, bo tam miałam ubrania.

– Zgadzasz się? – zagadnęła Diana, chowając strój do swojej szafy.

– Tak – kiwnęłam głową. Moja twarz była już pogodniejsza.

– Bez kłótni? W końcu o nic cię nawet nie pytałam – Diana była wyraźnie zdziwiona.

– I tak wybrałabym część pod ścianą. Widzisz, są tu już



moje ubrania – wskazałam palcem szafę.

– A gdybym wybrała inaczej, to co wtedy? – ciągnęła. Uśmiechnęłam się.

– Obgadałybyśmy sprawę. I nie, nie byłoby to na zasadzie: ja chcę to, bo mnie się należy – mówiłam piskliwym głosikiem i tupałam nogami jak mała dziewczynka. – Ale odbyłoby się to na drodze sprawiedliwego kompromisu – uniosłam dyplomatycznie palec. Diana roześmiała się.

– Powiedzmy, że ci wierzę – przymrużyła oczy. Od tamtej pory Diana nieczęsto mi ustępowała, drażniła się ze mną i wypróbowywała moją cierpliwość. A ja wreszcie czułam się jak normalny człowiek, chociaż na początku nie było łatwo. W końcu przyzwyczaiałam się do uległości innych. Wszyscy bali się, że mogłam na nich donieść Wielkiemu, jeśli w jakikolwiek sposób by mnie urazili. Wielki stał za mną murem i wiedziałam, że mam w nim wielkie oparcie.

Raz przez przypadek powiedziałam mu, że kolega z klasy wpadł na mnie i mnie przewrócił. To było niechcący i miałam jedynie siniaka na kolanie. Tydzień później ten kolega ze spuszczoną głową, szlochając, przeprosił mnie, wręczył czekoladki, obiecał, że więcej się do mnie nie zbliży, i uciekł. Byliśmy dziećmi, a ja już wtedy poczułam się jak potwór, którego wszyscy omijają. Wielki czasem niepotrzebnie się wtrącał.

– Kochanie, ja to robię dla twojego dobra. Nie pozwolę, by ktokolwiek cię skrzywdził. Uwierz mi, przyjaciół sobie jeszcze znajdziesz – mówił i gładził mnie po główce. Ufałam mu, bo innej możliwości nie miałam. A teraz co? Stars nas leje,

a Wielki po cichu temu przyzwala.

– Kary uczą. Jeszcze to do ciebie nie dotarło? – powiedział to po mojej pierwszej porażce i biegu na kilka kilometrów. – Myślałem, że już dorastasz.

Już wiedziałam, że obraz Wielkiego z okresu mojego dzieciństwa był fałszywy. Chciał tylko zyskać moją ufność. Wtedy byłam już od niego w pewien sposób uzależniona.

\* \* \*

Zrobiłam dwa okrążenia wokół piaszczystego boiska, które zajmowało połowę całej przestrzeni ćwiczeniowej na świeżym powietrzu. Za mną było też już rozciąganie, przysiady, brzuszki, wykopy, rozgrzewanie nóg i rąk. Diana powtarzała po mnie wszystkie ćwiczenia jak małpka. Starłam się na nią nie patrzeć. Zżerała ją panika i stres. To było widać na pierwszy rzut oka. Była cała blada, a oczy miała lekko zaczerwienione. Ja również czułam strach, ale po tylu latach skrywania emocji nie miałam problemu z utrzymaniem obojętnego wyrazu twarzy, chociaż dłonie były zlodowaciałe, a raz za razem przeszywały moje ciało delikatne drgawki. Jakby miliony mrówek urządziło sobie marsz od stóp po plecy. Diana ćwiczyła stale blisko mnie. Widziałam kątem oka, jak co chwilę uważnie mi się przyglądała, otwierała lekko usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie usłyszałam nawet szeptu. Nie tylko my ćwiczyłyśmy w ciszy. Pozostałe pary również milczały i porozumiewały się na zasadzie telepatii. Jedyne, co nas odróżniało od reszty, to chłodny

stosunek między nami. Inni klepali się po plecach, cichutko jak podmuch wiatru szeptali sobie do ucha: „Będzie dobrze”, „Damy radę”, a niektórzy nawet przesyłali sobie ciepłe uśmiechy. Dostrzegłam, że rzeczywiście między tymi brutalnymi, zepsutymi dzieciakami istnieje bardzo silna przyjaźń, która być może jako jedyna trzyma je jeszcze przy zdrowych zmysłach. Wspomniałam, że w tamtym momencie poczułam się jak potwór, chyba po raz milionowy w moim życiu? Wiedziałam, że Diana potrzebowała mojego wsparcia, że jej mózg od przemyśleń i wyobrażeń zamieniał się w pulchną papkę, ale doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że jedno moje słowo, a ona się rozryczy na dobre. Mogłam chociaż uścisnąć jej dłoń. Dlaczego tego nie zrobiłam? Jak na złość w głowie nagle zabrzmiały mi słowa Wielkiego, których w ogóle nie mogłam uciszyć: „Macie już dwadzieścia lat. Nie jesteście dziećmi. Przed wami ostatni rok szkoły. Później musicie się liczyć z wezwaniem do armii, pracy na rzecz państwa. Każdy ma swoje zadanie i cel do wykonania. Proszę was, nie bawmy się w przykładowych obywateli. Bądźmy nimi do ostatniej kropli krwi, ostatniego włosa na głowie! Silni, zdecydowani, mężni – to są cechy Trytijników! To są cechy, które sprawiają, że jesteśmy niepowtarzalni na tle innych narodów! Pamiętajcie również o braterstwie, oddawajcie życie za siebie. Zapamiętajcie, aby nie być ciężarem dla drugiego człowieka! Pocieszajcie innych, gdy to ma sens! Słaby zawsze pozostanie słabym, a wy zmarnujecie swoją energię na wygłaszanie uspokajających słów, choć ta siła mogła przysłużyć się walce i zwycięstwu.

Postępujcie rozsądnie, wierzę w was i wasze możliwości". I ten jego złowieszczy, ale jakże pociągający uśmiech oraz wzrok przeszywający na wskroś duszę... To była jego krótka przemowa na rozpoczęcie roku dla klas piątych. Ćwiczył ją przede mną i prosił o recenzję. Niebywałe, jak potrafił zachęcać innych do działań, budować wartość swojego ludu. Byłam wtedy zachwycona. Podczas ćwiczeń jego słowa zaczęły mnie przerażać... Slini... Zdecydowani... Mężni... Słaby pozostanie słabym... Spojrzałam na Dianę. Szybko złapała mój wzrok, uniosła lekko brwi w nadziei, że zaraz coś do niej powiem. Ogromna gula rośła mi w gardle. Spuściłam wzrok, zmarszczyłam czoło, ściągnęłam usta. „Diana! Weź się w garść!” – krzyczałam na nią w myślach. Położyłam się na ziemi, aby zakończyć rozgrzewkę pompkami. Raz – poczułam mocny ból w ramieniu, aż mimowolnie wytrzeszczyłam oczy. Dwa – zagryzłam wargi. Trzy – byłam bliska wydania z siebie jęku. Cztery – ramię cholernie piekło! Pięć – jeszcze dobrze się nie uniosłam, a padłam bezsilnie twarzą w piasek. Diana natychmiast do mnie podeszła i próbowała mnie podnieść.

– Ann, rana zaczyna ci krwawić – jej głos wyraźnie drżał, ale twarz pokazywała z wysiłkiem utrzymywaną równowagę. Spojrzałam na coraz czerwieńszy bandaż, a następnie na nią. Jeszcze chyba nigdy tak głęboko nie patrzyłyśmy sobie w oczy. Czułam, jak dziewczyna ściska mi ukradkiem dłoń. Scena musiała wyglądać wyjątkowo, bo chłopcy zaniemówili, a zwykle komentowaliby już i się śmiali. Nagle, w jednej sekundzie, w jej oczach odczytałam ogromny smutek i żal. Wiedziałam, że nie było to spowodowane ćwiczeniami. Za

tym kryło się coś więcej.

– Jakiś problem? – usłyszałam dobywający się z za moich pleców głos Starsa. Obie wstałyśmy. Diana zwiesiła głowę.

– Nie – odwróciłam się do profesora z obojętnym wyrazem twarzy, choć czułam solidne pulsowanie z ramienia. Stars zauważył bandaż i lekko się uśmiechnął.

– To świetnie, bo czas zacząć wasze właściwe ćwiczenia. Pięć minut na wypicie wody – zakomenderował.

Wszyscy podeszli do prowizorycznej drewnianej ławeczki. Stały tam butelki z wodą i rzeczy Starsa. Nieopodal ćwiczył Fab pod rozkazami Felixa.

– I jak ci idzie, mistrzu? – z drwiną spytał Albert. Fab nie odpowiedział, robił przysiady. Był blady jak księżyc, oczy miał bardzo sine i podkrążone.

– Teraz panienska obraża się na cały świat? – dopowiedział Zerb.

Spokojnie piłam wodę.

– Dajcie mu spokój. Nie widzicie, że i tak już ledwo oddycha? – to był głos Diany. O mało się nie zakrztusiłam. Odwróciłam się do niej ze zdziwieniem, a ona mnie olała! Wycofała się w stronę toru z przeszkodami.

– No proszę, proszę, cud! Niemowa przemówiła! – krzyczał Cler, bo Diana była już daleko. To fakt, dziewczyna nie mówiła nic przy chłopakach chyba już od dwóch lat! Oni stawali się coraz asertywniejsi i mocniejsi w słowach, a ona zwyczajnie nie potrafiła się już bronić. To chyba od tamtej pory zaczynało dziać się z nią coraz gorzej. Nie wiedziałam,

czy mam za nią iść, czy co. Podążałam za nią wzrokiem.

– Patrzcie, nawet Ann замуrowało! – zaśmiał się Felix, a chłopcy mu zawtórowali. Spojrzałam na niego wściekła.

– Tylko go nie zabij – wysyczałam i poszłam za Dianą. Felix uniósł ręce na wysokości głowy. Jego twarz wyrażała zaskoczenie i niewinność, ale po chwili usłyszałam jego rechot za plecami i przybijanie piątek z chłopakami. To było chwilowe wyluzowanie. Gdy stanęliśmy przy torze, znów każdy był spięty, a stres sięgał granic. Czego się baliśmy? Niczego. Ale samo to, że rywalizujesz z własnym przyjacielem, za którego dałbyś się poćwiartować, przyprawiał o ból głowy. To był cholernie trudny moralnie wybór. Albo myślisz o sobie, albo o kumplu. Albo odbywasz karę, narzekając, za jakie grzechy, albo odpoczywasz w pokoju z dręczącą myślą, że w tej właśnie chwili twój przyjaciel, pokrewna dusza, musi przez ciebie wylewać siódme poty i łzy. Gdy Diana odbywała swoje kary, ja czułam, jakby moją duszę przypiekano nad ogniem. Chodziłam po całym pokoju pomimo zmęczenia. Wtedy też dużo pomagał mi Nath. Ciągłe ze mną rozmawiał, uspokajał w racjonalny sposób, a momentami po prostu przytulał. Diana wracała skatowana, a mi łzy leciały potokiem z oczu. Wyganiałam Opiekuna i sama się nią zajmowałam, najczulej i najlepiej, jak potrafiłam. To już wtedy było bolesne, a przecież wiedziałam, że nie przyczyniłam się do jej cierpienia. Nie jak w tym przypadku.

– Tor nie jest zbyt wymagający – zaczął Stars, przechadzając się za naszymi plecami – Ma to jednak swój

cel. Podczas tych ćwiczeń będę mógł szybko zauważyć, czy ktoś przypadkiem specjalnie nie zwalnia. Na tę chwilę jesteście wrogami i... – Stars nagle urwał. Wszyscy się odwróciliśmy. Za nami Fab i Felix bili się w najlepsze.

– Nosz do kurwy! Co wy wyprawiacie?! – ryczał Stars. Chłopcy absolutnie nic nie słyszeli, kipieli agresją.

– Trzeba ich rozdzielić! – krzyknął Steve. Stars warknął i ruszył ciężkim krokiem w stronę chłopców. Bójka była poważna. Fab musiał dostać kilka razy pięścią w twarz, bo z nosa dosłownie lała mu się krew. Jednak mimo to zwyciężał, bo choć Felix, zdrowszy i silniejszy, nie miał ani jednego zadrapania, to leżał pod ciężarem Faba. Ten, wykorzystując chwilowe zamroczenie wroga (został uderzony z impetem w klatkę piersiową), kopał go z całych sił w brzuch. Felix zwijał się w kłębek, nie mając szans na obronę, bo Fab był bardzo szybki i precyzyjny w uderzeniach. Na szczęście Stars przyspieszył kroku i dosłownie odrzucił Faba na kilkadziesiąt centymetrów. Byłam zszokowana. Jeszcze chwila i mógłby go zabić! Wiedziałam, że skończy się zgrzytem między nimi, ale nie aż takim.

– O kurwa... Tego się nie spodziewałem – wyszeptał Albert, a wszyscy lekkim pomrukiem przyznali mu rację. Po chwili przerażenia poczułam dumę, że Fab nie dał się zgnoić. Lekko się uśmiechnęłam i patrzyłam na Faba szarpanego przez Starsa z zadowoleniem.

– Ann... – wyszeptała cicha jak myszka Diana i lekko dotknęła mojej ręki. Jej głos był pełen wyrzutu. Spojrzałam na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Dziewczyna była

wyraźnie na mnie zła i wyglądała na rozczarowaną moim zachowaniem. Uśmiech momentalnie znikł z mojej twarzy, a pojawił się lekki grymas. Odwróciłam wzrok. „To co, miał się dać poniżyć i z pokorą przyjmować obelgi? Fab nie należy do słabych – pomyślałam – w przeciwieństwie do ciebie”. Przymknęłam oczy i lekko potrząsnęłam głową. „Nie, to było w przypiływie złości, ja wcale tak nie myślę. Diana jest silna... na swój sposób...”. Postanowiłam już nie roztrząsać tego tematu, bo coraz wyraźniej jawił mi się obraz Diany jako bezbronnej myszki, pozbawionej instynktu samoobrony. A ta dziewczyna naprawdę musiała być silna, inaczej nie wytrzymałaby tu tyle lat. Poczułam się okropnie. Przecież ona martwiła się o mnie podczas walki na arenie. Szczerze przejęła się odniesionymi ranami. Zawsze była ciekawa, co się u mnie działo i jak się czułam. A ja w ciągu tych kilkudziesięciu minut obniżyłam jej wartość praktycznie do zera. Stawała się nikim dla mnie, a jednocześnie wiedziałam, że tylko na niej mogłam polegać, tylko ona szczerze i bezinteresownie mnie kochała. Byłam potworem! Stars wrócił po około dziesięciu minutach.

– Zaprowadziłem te szmaty do zastępcy Wielkiego Mistrza – dyszał z wściekłości. – Niech któreś z was kiedyś wpadnie na podobny pomysł rozwiązywania sporów między sobą na mojej lekcji, to obiecuję wam, że nogi z dupy powyrywam! – wrzeszczał na całe gardło, aż przymknęłam oczy. – W tył zwrot i zapierdalać! – dmuchnął w gwizdek. Rozpoczęliśmy rywalizację. Najpierw był bieg przez opony. Diana dawała z siebie wszystko, nawet mnie wyprzedziła. Ja niestety nie



byłam wtedy w formie. Nie dość, że walczyłam najlepiej, jak umiałam na arenie, to jeszcze straciłam trochę krwi. Już na wstępie pogodziłam się z porażką, ale obiecałam sobie, że i na nią chcę zasłużyć. Kolejnym ćwiczeniem było przejście pod drabinką. Wiedziałam, że zapewni to Dianie ogromną przewagę. Obie zaczęłyśmy zadanie równocześnie, ale ja już po drugim szczebelku upadłam na ziemię. Szybko złapałam się za ramię. Rany otworzyły się na nowo, a założone szwy po prostu pękły! Diana, widząc to, również „niechcący” spadła i próbowała złapać na nowo szczebelek. Widziałam, że specjalnie skacze zbyt słabo, udając zmęczenie, żeby dać mi czas. Z jednej strony rozczuliła mnie, z drugiej zaś wzbudziła złość. Nie chciałam litości! Skakałam, by złapać za trzeci szczebelek. Gdy w końcu go chwyciłam, poczułam przeszywający ból. Czułam, jak ciepła krew płynie wzdłuż ramienia, a następnie po plecach. Mimowolnie w oczach pojawiły mi się łzy. Zamrugałam parę razy i walczyłam dalej. Spadłam jeszcze jakieś dwa razy, bo drabinka była cholernie długa. Już nie bacząc na nic, pozwalałam sobie przy każdym przejściu do kolejnego szczebelka na lekkie jęki i syczenia. Koniec zadania. Przetarłam rozbolełe do szpiku kości ramię oraz załamane oczy. Dzięki temu krew miałam już i na twarzy. Po mojej lewej stronie ćwiczyła Diana. Spojrzałam za siebie, a ona była dopiero w połowie drabinki! Wkurwiłam się. Miałam taką ochotę krzyknąć, aby ruszyła to dupsko, ale nie wolno nam było się porozumiewać. Odetchnęłam głęboko. Trudno. Ruszyłam dalej. Bieg przez płotki, które sięgały nam mniej więcej do kolan. Czułam, jak zaczynało brakować mi

sił. Świat coraz bardziej wirował mi przed oczami. Musiałam zdecydowanie zwolnić. Raz bardzo niefortunnie zawadziłam stopą o drewnienko i upadłam na kolana. Lekko je zdarłam i z początku nic nawet nie poczułam.

Dopiero przy kolejnych skokach za każdym zginaniem kolan czułam pieczenie i bijące ciepło. Biegłam jak ostatnia oferma. Ale był jeden sukces. Diana w końcu się ze mną zrównała. Stars ułożył ogromną liczbę tych płotków. Potem było czołganie się po bardzo nierównym gruncie pod drutami. Myślałam, że zdechnę. Z jednej strony poczułam ulgę, bo ziemia była chłodna, ale z drugiej – małe kamyczki jeszcze bardziej dokuczały moim kolanom. Musiałam wytężyć także mięśnie ramion. Diana powoli mnie wyprzedzała, co mnie cieszyło. Tylko wtedy, gdy ona wygra, będzie sprawiedliwie. Musiała zauważyć, że moje tempo jest bliskie żółwiemu, bo momentalnie zaczęła zwalniać. Tego już było za wiele! Byłam zmęczona fizycznie, a to babsko dobijało mnie jeszcze psychicznie.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?! – szepnęłam, gdy się zrównałyśmy.

– Cicho – nawet na mnie nie spojrziała.

– Nie wkurwiał mnie! – syknęłam. I w tym momencie pod wpływem emocji zbyt wysoko uniosłam zranione ramię. Wystający drut wbił mi się odrobinę w bandaż i wskutek ruchu szerzej otworzył ranę. Natychmiast znieruchomiałam, a moje ciało przeszył zimny dreszcz. Diana wstrzymała oddech i również nie szła dalej.

– No idź! – syczałam i dwie łzy spłynęły mi po policzku.

Diana była wyraźnie zdruzgotana i wcale się mnie nie posłuchała. Ruszyliśmy razem. Kończyliśmy zadanie. Chciałam się podnieść, bo został nam już tylko bieg do mety. Nagle poczułam silne uderzenie między łopatkami. Runęłam twarzą w ziemię. Diana spojrzała powyżej mnie i wytrzeszczyła oczy.

– Panno Mont, skoro nie rozumie pani dzisiejszych zasad i słów panny Mor, to najwidoczniej trzeba w tym pani pomóc – powiedział Stars z nutą irytacji w głosie. To jego noga właśnie miażdżyła mi plecy i zapierała dech w piersiach. – Proszę, pani biegnie do mety. Z każdą sekundą będę coraz mocniej uciskać pani przyjaciółkę, więc jeśli pani chce, żeby jej kręgosłup był cały i zdrowy, radzę się pospieszyć – ostatnie słowa wręcz wycedził przez zęby. Diana spojrzała na mnie z rozpaczą, szybko wstała i zaczęła biec. Ja za to czułam, jak z chwili na chwilę pojedyncze kamyczki wbijają mi się między żebra. Do mety był jeszcze kawałek – droga miała około pięćdziesięciu metrów, może i więcej. Modliłam się, aby tym razem Diana wykazała się swoją niebywałą szybkością. Na szczęście tak się stało.

– Ty już biec nie musisz. I tak jesteś ostatnia – powiedział Stars i poszedł w stronę mety. Przez pierwsze sekundy nie mogłam złapać powietrza, krztusiłam się. Lewa ręka była cała zalana krwią, a piekła jak cholera. Bluzka i twarz były również nią umazane, dodatkowo osiadł na mnie kurz i brud z ziemi. Wyglądałam okropnie. Ostatkiem sił doczłapałam do reszty klasy.

Pierwszy raz chłopcy tak na mnie patrzyli. Ich twarze

wyrażały współczucie. To mi pomogło, bo spodziewałam się śmiechu i drwin. Spojrzałam na Dianę. Płakała po cichutku. Podeszłam do niej, gładziłam ją po ramieniu.

- To nie jest twoja wina - wyszeptałam, przerywając, bo nadal nie mogłam normalnie złapać powietrza. Na twarzy Diany pojawił się jeszcze większy grymas i odsunęła się od mojej ręki. Znów poczułam wściekłość połączoną z goryczą. „Trzeba było mnie posłuchać, to Stars by się nie wtrącił!”.

- No to co? Czas na karę! - Stars zatarł ręce z zadowolenia. Ci, którzy wygrali, z ogromną niechęcią i smutkiem w oczach zaczęli kierować się w stronę ławki z wodą. - Stójcie, stójcie - odezwał się Stars - to będzie krótka kara i wymaga waszego udziału - na jego twarzy pojawił się półuśmiech. Aha, kolejny genialny pomysł. Obawiałam się tego, co za chwilę usłyszymy. - Niech pary staną twarzami do siebie - zakomenderował. Diana przecierała ostatnie łzy. Nie patrzyła na mnie. Westchnęłam.

- Kara jest następująca: ten, kto wygrał, z całych sił - zacisnął pięści - musi uderzyć otwartą dłońią przegranego - urwał na chwilę - w twarz.

Diana momentalnie spojrzała mi prosto w oczy. Część chłopców poruszyło się w miejscu. Niektórzy podeszli do tego jak do czystego rozkazu, mając nadzieję, że to nie wpłynie na ich dalsze relacje, więc stali spokojnie.

- Unieście dłonie - powiedział uroczyście Stars. Dobrze się bawił. - Na „trzy” uderzamy.

Diana uniosła rękę i pokręciła głową. Ja za to wytrzeszczyłam oczy i pomyślałam w duchu: „Kobieto,

musisz to zrobić! Inaczej będą problemy!”.

– Raz!... Dwa!...

Po zaczerwienionych policzkach Diany spłynęły dwie łzy wielkości ziarenek grochu.

– Trzy!

Rozległy się głośnie plaśnięcia. Niektórzy przegrani pod wpływem siły uderzenia odwrócili głowy lub lekko się zachwiali. Stałam przerażona. Chciało mi się krzyczeć, rwać włosy z głowy, kopać kogo popadnie. Diana uderzyła... siebie! Stars oczywiście to zauważył. Jego cierpliwość sięgnęła granic.

– Panno Mont... Proszę mi wytłumaczyć – podszedł do nas i rozłożył ręce – jak działa pani mózg...

Podbródek Diany zaczął drgać. Wiedziałam, że targają nią emocje, że mnie kocha, ale to tylko durne uderzenie! Nie byłam dzieckiem, byłam świadoma, że to nic między nami nie zepsuje. Jednak tego dnia wszystko zaczęło się pieprzyć... Chłopcy patrzyli na nas z przerażeniem, ciekawością, szokiem. Diana zawsze była posłuszna, nigdy się nie wyłamywała. Kazaliby jej zabić jakieś zwierzę, zrobiłaby to bez mrugnięcia okiem. Nie poznawałam jej.

– Milczymy? Dobrze... Czyli po raz kolejny muszę pani pomóc.

Stars złapał mnie z całej siły za zakrwawiony bandaż. Jęknęłam i mocno przymrużyłam oczy. Zaczęły płynąć mi łzy. Tego było już za wiele.

– Dopiero gdy uderzy pani pannę Mor, puszczę jej ramię –

mówił Stars. Nie otwierałam oczu. Nie chciałam widzieć min chłopców, a tym bardziej z pewnością przerażonej Diany.

– Panno Mont, pani przyjaciółka chyba cierpi – Stars zacisnął rękę jeszcze mocniej. Nie wytrzymałam...

– Diana! Do cholery, uderz mnie! – ryknęłam i nagle poczułam, jakby miliony małych igiełek wbijało mi się w policzek. Otworzyłam oczy. W końcu to zrobiła. Stars uwolnił moje ramię, a ja poczułam ulgę.

– Wiecie, czego to miało was dzisiaj nauczyć? – kończył lekcję Stars. – Nawet najlepszy przyjaciel prędzej czy później was zdradzi, żeby ratować swoje zasrane dupsko. Wierzycie w swoje więzi... Dobrze! Ale uwierzcie też, że wojna to nie zabawa. Trzeba będzie dokonywać trudnych moralnie wyborów. Szykujcie się na to. Na dzisiaj tyle – poszedł po swoje rzeczy.

Wszyscy w milczeniu poszli w stronę szatni, a my ciągle na siebie patrzyłyśmy. Diana miała jakiś obłąkany wzrok. Zaczynałam się o nią martwić. Bez słowa ruszyła biegiem przed siebie. Zdezorientowana chciałam biec jej śladem, ale lekko zaśląbłam.

– Diana! – krzyknęłam, wyprostowałam się i ruszyłam truchcikiem. Dziewczyna w ogóle nie reagowała. Dobiegła do ławki i dalej zaczęła iść. Dogoniłam ją przy samych drzwiach do szatni.

– Hej! – złapałam ją za ramię, ale mocno się wyszarpnęła. Nie wiedziałam, co się dzieje. – Czeka! – powiedziałam dobitniej.

Diana się zatrzymała.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – spytałam ciepło.

– A uważasz, że co, powinno być po staremu? – Diana mówiła jak szalona.

– Skarbie, to były tylko ćwiczenia – uspokajałam ją.

– Przecież wiem! – wybuchła, a we mnie wzbudziło to mieszanne uczucia.

– To powiedz mi, o co ci chodzi – przybrałam lekko gniewny wyraz twarzy, traciłam cierpliwość po tym wszystkim. W ciągu dwóch godzin przeżyłam taką huśtawkę emocji, że wystarczy na parę dni.

– Jak ty ratowałaś mi dupę, to było O.K., przyjmowałam to bardzo serdecznie – w oczach Diany widziałam złość – ale jak ja ci dzisiaj chciałam pomóc, to nagle jest źle! – krzyknęła.

– Niczego takiego nie mówiłam! Doceniam to, co robisz – powiedziałam zdenerwowana.

– Jakoś nie widzę! Zero wsparcia przed ćwiczeniami! Denerwujesz się, gdy ci pomagam! Źle, że nie chciałam cię uderzyć!

– krzyczała.

– Uspokój się – potrząsnęłam nią lekko.

– No, dalej, uderz mnie! – momentalnie cofnęłam od niej rękę.

– Ja... Nigdy bym tego nie zrobiła – wymamrotałam zaskoczona.

– Nie wiadomo – uniosła brew, a ja poczułam, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. – Słyszałaś Starsa, przyjaciele

zdradzają. Prychnęłam, zszokowana jej zachowaniem.

– Nie wierzę, że to powiedziałaś – zbierała się we mnie złość.

– Zmieniłaś się – jej twarz ukazywała rozczarowanie.

– A ty niby nie? – byłam mocno zdenerwowana. Diana lekko się uśmiechnęła. – Może Stars rzeczywiście miał rację – powiedziałam.

Dziewczyna roześmiała się, odwróciła i poszła do szatni. Łezka zakręciła mi się w oku. Nie byłam już co do niej pewna. Nie wiedziałam, czy mogę na nią jeszcze liczyć.

– Brawo! A myślałem, że wasza przyjaźń będzie trwała wiecznie – skomentował idiotycznie Zerb. – Takie wiesz... Papużki nierozłączki.

Odwróciłam się do niego z ogromną złością. Głupi uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Pierdol się – i poszłam do szatni.

\* \* \*

Czułam, że leżałam na czymś miękkim i wygodnym. Moje ramię pulsowało. Przez zamknięte oczy widziałam barwę zepsutej brzoskwini. W pomieszczeniu musiało być zapalone światło. Wiedziałam, że to nie moje łóżko, bo było zbyt twarde, a pod dłońmi czułam zimną skórę, a nie kocyk. Gdy świadomość stopniowo zaczęła powracać, z sekundy na sekundę ból głowy narastał. Zaczęło mi się również robić niedobrze. Mimowolnie zacisnęłam powieki.



- Ann? - usłyszałam słaby szept Caroline. Powoli otwierałam oczy. Ból czaszki stał się nieznośny. Jakby ktoś próbował ją otworzyć dłutem, a w skroniach krew urządziła sobie wyścigi. Nie byłam w stanie mrugać, a co dopiero spojrzeć w bok na pielęgniarkę.

- Otwórz buzię - usłyszałam po chwili Stephana. Przyłożył do moich ust strzykawkę bez igły z niebieskawym płynem. Poczułam chłód na języku i gorzkawy posmak. Nie upłynęła minuta, a już nic nie chciało otwierać mojej głowy. Żołądek powrócił do normalnego stanu, nawet poczułam głód. Moje ciało się rozluźniło, a z brzucha żyłami rozchodziła się magiczna siła. Bez problemu usiadłam na łóżku pielęgniarskim. Moje nogi jak zawsze bezwładnie zwisały.

- Napój regeneracyjny? - spytałam z lekkim wyrzutem w głosie. Taki eliksir stosuje się na polu walki bardzo często. Ja przecież jedynie gorzej się poczułam. Zmarnował zioła.

- Owszem - Stephan się uśmiechnął. - A co? Nie chcesz czuć się lepiej?

Odwzajemniłam uśmiech. Spojrzałam na ramię. Było bardzo starannie zabandażowane. Gdy go dotykałam, w ogóle mnie nie bolało.

- Zemdlałaś tuż pod drzwiami - zaczęła Caroline.

- Całe szczęście, że walnęłaś w nie głową, bo inaczej nic byśmy nawet nie usłyszeli - zaśmiał się Stephan, a kobieta zganiła go spojrzeniem.

- No co? - obruszył się. - Chyba lepiej, żeby nabawiła się guza, niż żeby któreś z nas przy wychodzeniu ją zdeптаło,

a przy okazji samemu się potknęło i przewróciło – Caroline nie ustępowała. – No i ewentualnie szczęście w nieszczęściu, bo wykrwawiłaby się – wzrok kobiety złagodniał.

– Zaaplikowaliśmy ci bielski balsam, zszyliśmy rany i starannie zabandażowaliśmy ramię – kontynuowała Caroline. – Na do widzenia dam ci maść z kortii.

Kiwnęłam głową. Biel i kortia to rośliny. Pierwsza pomaga szybciej regenerować rany i wystarczy użyć jej raz lub dwa razy na uraz, nieważne jakiej głębokości. Druga zapobiega bliznom. Poczułam się tak błogo. Nic mnie w końcu nie bolało. Otaczali mnie ludzie, dla których byłam ważna. Ale w końcu dotarło do mnie odpychane wspomnienie o kłótni z Dianą. Spochmurniałam.

– Ann, wszystko O.K.? – spytał ciepło Stephan.

– Nie do końca – spojrzałam na niego.

– Chcesz pogadać?

– Chyba nie – zmieszałam się.

To nie tak, że mu nie ufałam. Był mi bardzo bliski od jakiegoś czasu, ale czułam, że nie mogę mu o tym powiedzieć.

– Jak coś, jest też Caroline – usiadł obok mnie i gładził po zdrowym ramieniu.

– To miłe z waszej strony – poklepałam go po dłoni – ale dzisiaj nie dam rady z siebie tego wyrzucić. Zdarzyło się tyle, a jeszcze dzień się nie kończy – spojrzałam na niego znacząco. Czekało mnie spotkanie z Dianą, no i ta przekłeta kolacja z Mistrzem. Jeszcze niedawno czułam motylki

w brzuchu. Wtedy chciałam, żeby ją odwołał, nawet z byle pierdoły. On nigdy nie pozwalał na to, abym miała jakiegokolwiek sekrety. Wypytywał, powracał do tematu, a jeśli to nie działało, używał magii. Był potężnym czarodziejem, najpotężniejszym na świecie. Nigdy nie potrafiłam z nim wygrać. Nie chciałam wałkować dwa razy tego samego problemu. Zostawiłam już go dla Wielkiego. Stephan również był magiem, ale nie miał umiejętności wyczuwania kłamstw. Jego dar skupiał się na leczeniu, ziołach, roślinach. Dałabym radę powiedzieć mu wtedy wszystko, ze szczegółami. Ale wtedy u Wielkiego opowiedziałabym problem powierzchownie. On nie dałby się nabrać i drażnyłby sam. Prawdopodobnie wpadłby w gniew, a nie chciałam mu psuć humoru.

– Oczywiście. Rozumiem. Spotkanie z Mistrzem – wiedziałam, że uraziłam Stephana. Tyle dla mnie zrobił... Chciał pomóc... „Wybacz. Wielki jest ważniejszy od ciebie”. Lekarz wstał. Wziął miseczkę z czerwoną mazią.

– Daruję ci dzisiaj opowieść o Starsie i jego uczniu zadręczonym na śmierć – podał mi lek. Spojrzałam na niego z uwagą.

Na śmierć? Caroline trzepnęła go w plecy. Staruszek się skulił.

– Miałeś jej darować – powiedziała.

– Ja? – uśmiechnął się tajemniczo. – Ja tylko chciałem zachęcić ją do kolejnego spotkania – mrugnął do mnie.

– Powtórzę po raz kolejny: jesteś dziwny – zeskoczyłam z łóżka.

- Ale przyjdiesz, prawda? - powrócił stary, zwariowany staruszek.

- Żeby zmienić opatrunek na noc? Tak - z trudem hamowałam radość wywołaną poprawą jego humoru.

- Ach - na twarzy Stephana pojawił się grymas - zapomniałem o nocy. Za wcześnie cię zachęciłem. Ale jutro rano z pewnością przyjdiesz z tego samego powodu.

- I chcesz jej spieprzyć dzień? - wtrąciła się Caroline.

- Ta wiedźma pewnie znów mi nie uwierzy, ale ja będę miał spokojne sumienie, że ją ostrzegłem - wyprężył się dumnie.

Przewróciłam oczami i westchnęłam.

- Do wieczora - wychodziłam z maścią z kortii.

\* \* \*

Bałam się jak cholera. Drżały mi nogi, dłonie kurczowo ścisnęły miseczkę, palce stawały się zimne. Krok, drugi, trzeci. Pięć pokoiów, cztery pokoje... Z naprzeciwka, korytarzem, szła Verna z klasy artystycznej. Geniusz śpiewacki naszej szkoły. Dawniej byłyśmy sobie obojętne, ale od kilku miesięcy dziewczyna pałała do mnie nieskrywaną nienawiścią. Co śmieszniejsze, nic jej nie zrobiłam. Była o centymetr wyższa ode mnie. Miała zawsze rozpuszczone, długie, czarne, naturalnie proste włosy. Jedynie część włosów zbierała w cienki kucyk z tyłu głowy. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Z obojętnością patrzyłam przed siebie.

Nagle stanęła tuż przede mną. Zatrzymałam się.

– Jesteś z siebie zadowolona? – spytała melodyjnym głosem.– Nie wiem, o czym mówisz – moja twarz stale była obojętna.

– Oczywiście – uniosła lewą brew. – Zawsze jesteś niewinna, uczciwa, postępujesz słusznie – pluła jadem.

– Zejdź mi z drogi! – warknęłam. Moja cierpliwość też miała swoje granice. Verna prychnęła.

– Jesteś żałosna – rzuciła i odeszła. Musiała widzieć się z Dianą. Być może nawet rozmawiały. Wiedziałam, że się znały. Słyszałam o Vernie w pokoju wiele razy. „Uśmiechnęła się do mnie, podała mi rękę, parę sekund z nią rozmawiałam – cieszyła się Diana – śpiewałyśmy wspólnie do gwiazd. Obiecałyśmy sobie, że musimy częściej to robić”... Poczułam się bezradna. Nie wiedziałam już, co mam jej powiedzieć. Przeprosić? Nie znałam powodu. Wyjaśnić? Ale co?! Byłam pewna, że nie będzie chciała mnie słuchać. Tak czy owak, musiałam iść do pokoju, żeby zostawić maść. Weszłam do środka. Diana leżała zawinięta w koc na łóżku twarzą do okna. Patrzyła na niebo i chmury. Zawsze to robiła, gdy o czymś myślała lub po prostu odpoczywała. Postawiłam miseczkę na swoim biurku. Czułam nieprzyjemną atmosferę. Myśli kotłowały się w mojej głowie. Spojrzałam na zegarek.

– Za dziesięć minut jest obiad – odezwałam się cicho. – Idziesz ze mną?

Stałam twarzą do biurka. Nie miałam odwagi na nią spojrzeć. – Nie idę na obiad – odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem.

- Musisz coś zjeść – nalegałam.
- Nie jestem głodna.
- Musisz zregenerować siły – głos zaczynał mi drżeć.
- Nie – podniosła głos, a ja momentalnie odwróciłam się w jej stronę. Patrzyłam na nią smutnym wzrokiem.
- Diana...
- Nie teraz – powiedziała nad wyraz stanowczo. Właśnie w tamtym momencie wiedziałam, co chciałam jej powiedzieć. Pragnęłam dowiedzieć się, co się we mnie zmieniło i uświadomić ją, że i ona nie była już tą Dianą sprzed roku. Ale nie dała mi szansy.
- Jak coś, jestem w jadalni – wyszłam.

\* \* \*

Ryż z indykiem ledwo przechodził mi przez gardło. Dosłownie wpychałam w siebie kolejne kęsy. Obok mnie siedziało mnóstwo ludzi. Ale co z tego? Jeszcze nigdy nie czułam się tak samotnie. Tliła się we mnie nadzieja, że jeszcze porozmawiam z Dianą. W końcu odpowiedziała jednoznacznie: „Nie teraz, ale powrócimy do tematu. Daj mi czas”. A może tylko ja tak to rozumiałam? Nie, nie... Była moją przyjaciółką, więc nie mogłam się pomylić. Znałam ją bardzo dobrze. Sięgnęłam po szklanekę z wodą. Mój wzrok powędrował do drzwi wejściowych do jadalni. Upiłam dwa łyki i mnie zmroziło. Właśnie weszła Verna z Dianą. Przyjaciółka, która jeszcze pół godziny temu miała kamienną twarz, teraz

lekką się uśmiechała. O czymś rozmawiały. Odstawiłam szklankę. Diana usiadła obok Sien, Meg i Pati. Dziewczyny przywitały się przytulaniem. Ścisnęło mnie w dołku. To one się znały?! Poczułam się nieswojo. Nie wiedziałam, że znała tyle osób, w dodatku w tak blisko. Ja miałam tylko ją... Verna poszła wzdłuż jadalni, na sam koniec, pod ladę z wydawanym jedzeniem. Podała dwie karteczki, bez których posiłki nie były wydawane. Kucharka maznęła coś długopisem. Verna zamieniła z nią parę słów i wskazała na Dianę. Kobieta kiwnęła głową i wydała dwa pełne talerze oraz dwie szklanki z wodą. Wydzielanie żywności było pilnie kontrolowane. Nikt nie mógł chodzić głodny, ale karygodne było być przejedzonym. Dziewczyna wróciła z tacą do okrągłego, dużego, drewnianego stołu w kolorze brudnej szarości. Diana siedziała do mnie tyłem, ale wiedziałam, że wymieniają się serdecznymi uśmiechami. Poczułam się zdradzona. Posprzątałam naczynia, odsunęłam masywne, drewniane krzesło i ruszyłam na koniec pomieszczenia. Obok okienka z wydawaną żywnością był punkt odbioru brudnych naczyń. Pełna rozczarowania i złości ruszyłam głównym przejściem, przy którym siedziały dziewczyny. Gdy się do nich zbliżałam, spojrzałam na Dianę. Siedziała do mnie bokiem, Verna zaś tyłem. Dziewczyna spokojnie piła wodę i wsłuchiwała się w słowa Sien. Śpiewaczka odwróciła się do mnie. Jej mimika wyrażała wygraną i pewność siebie. Diana kompletnie mnie olała. Czułam się rozbita.

\* \* \*

Modelowałam przed lustrem świeżo wysuszone włosy. Tak jak nakazywał regulamin, sięgały łopatek. Staralam się uformować na końcówkach lekkie loki. Dzięki magii będą się utrzymywały tak długo, jak będę chciała. Przyglądałam się sobie uważnie. Byłam niską dziewczyną, Wielkiemu sięgałam głową zaledwie do ramion. Od zajęć fizycznych, walk stoczonych na arenie miałam smukłe i lekko umięśnione ciało. Kobięce atuty mogłyby być trochę większe, ale też nie mogłam narzekać. Twarz okrągła, ale nie pucołowata. Dobrze widoczne kości policzkowe. Nos mały, lekko zadarty. Dość duże granatowe oczy oraz mój znak rozpoznawczy – białoszarosrebrne włosy. Nigdy niefarbowane, były takie od urodzenia. W Akademii tylko ja miałam taki kolor. Pasował do mojej bladej, mlecznej cery. Mistrz kazał ubrać się z klasą i w swojej opinii wykonałam to zadanie na piątkę. Wybrałam czarną bawełnianą sukienkę ze średnio głębokim dekoltem. Miała rękawy długie do nadgarstka, przylegające ściśle do ciała. Na szczęście opatrunek nie był bardzo wypukły i nie rzucał się od razu w oczy. Sukienka była długa. Dzięki czarnym pantofelkom na sześciocentymetrowych obcasach lekko tylko dotykała podłogi. Była lekko rozkloszowana, mogłam swobodnie stawiać kroki. Kiedy dobieierałam biżuterię, ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – nie mogłam się zdecydować na rodzaj kolczyków: groszki, wiszące kryształki czy inny kształt... W pokoju pojawił się Nath.

– Nie przeszkadzam? – spytał, zamykając drewniane drzwi



w kolorze ciemnego brązu.

– Absolutnie – spojrzałam na niego ciepło. – Jak wyglądam? – obróciłam się. Na twarzy Natha pojawił się uroczy uśmiech.

– Wspaniale – usiadł przy biurku Diany. – Dawno cię nie widziałem w podobnym stroju. Widok zapiera dech w piersiach – kiwał głową.

– Dziękuję – lekko się ukloniłam. Jego słowa rozwiały niepewność i strach. Wiedziałam teraz, że z niczym nie przesadziłam, nie wyglądałam śmiesznie czy tandetnie. „Może ten dzień jednak dobrze się skończy”.

– Denerwujesz się? – kontynuował rozmowę.

– Yhm... Trochę – lekko się uśmiechnęłam. Podniosłam do jednego ucha wiszące srebrne kryształki, do drugiego złotą jaskółkę. Odwróciłam się do Opiekuna.

– Kryształki – skwitował. Czułam, że atmosfera jest napięta. Nath był cichy, tylko mi się przyglądał. Ja nie byłam typem człowieka, który każdy problem musiał komuś opowiedzieć. Wiele spraw, bólu dusiłam w sobie.

– Wiesz, gdzie jest Diana? – spytał łagodnie. Ścisnęło mnie w dołku. Odwróciłam się do lustra umiejscowionego przy drzwiach.

– Wybacz... ale nie mam pojęcia – zdarzyło mi się to pierwszy raz. Zawsze sobie mówiłyśmy, dokąd idziemy, co zamierzamy robić.

– Jest z Verną – Nath patrzył w podłogę. – Spacerują po ogrodzie.

- To dobrze - siliłam się na pogodny ton - niech odpocznie. Miała dzisiaj mnóstwo wrażeń.

Sięgnęłam po srebrny łańcuszek z bezbarwnymi, szklanymi koralikami.

- Ty też - Nath podszedł do mnie od tyłu i zapiął łańcuszek.

Oparł ręce o moje ramiona i patrzył mi w oczy w lustrze. - Ann, nie rób tego... - jego głos zbliżał się do szeptu.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Doskonale wiesz - mocniej zacisnął dłonie. - Nie tłum wszystkim w sobie. Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę? Możesz mi powiedzieć wszystko.

- Ale nie mam co ci powiedzieć - zrzuciłam jego ręce i sprzątałam biżuterię z biurka.

- Wszystkich okłamiesz, ale nie mnie - Nath stał obok mnie.

- Muszę już iść do Mistrza. Nie chcę się spóźnić.

Szłam do drzwi, kiedy złapał mnie za rękę. Przystanąłam.

- Tracę cię, Ann - wyszeptał i z trudem przełknął ślinę. Przymknęłam oczy. „Jeszcze ty?!”. Odwróciłam się do niego i przytuliłam.

- Wiesz, że jesteś dla mnie jak starszy brat. Obiecuję ci, że nigdy mnie nie stracisz.

- Kiedy to już się dzieje - gładził mnie po głowie. - Mnie teraz z własnej woli i dla własnego dobra nic nie powiesz, ale

Wielkiemu wyśpiewasz wszystko...

- Nath... - próbowałam mu przerwać.
  - Wydaje ci się, że szczerze ci współczuje, robi to z miłości, troszczy się o ciebie...
  - Błagam - byłam bliska obłędu.
  - Ale to wszystko ułuda - Nath cały się trząsł.
  - Przestań! - wykrzyczałam i odepchnęłam go. Moje oczy były załzawione. - Dlaczego mi to robisz? - mówiłam przez zaciśnięte zęby. - Dlaczego od dłuższego czasu psujesz mi jego obraz?
  - Ukazuję prawdę - chciał otrzeć łzę z mojego policzka, ale odepchnęłam jego dłoń.
  - Nie znasz go! - krzyknęłam. - Podjął się wychowania ciebie, choć miał niespełna siedemnaście lat?! Uratował cię jako niemowlę z płonącego domu?! - przybliżałam się do niego. - Dał ci schronienie, wyżywienie, poczucie bezpieczeństwa?!
  - Ty naprawdę mu tak ufasz? - patrzył mi prosto w oczy.
  - Jest jedyną osobą, która towarzyszy mi, od kiedy sięgam pamięcią.
  - Jeszcze rok temu dzieliłaś się ze mną każdą myślą, przeżyciem.
  - I to się nie zmieniło.
  - Czyżby? - uniósł brwi.
  - Co chcę, to ci mówię - wysyczałam. - Ty też nie chcesz mi wyjaśnić, dlaczego jesteś tak negatywnie nastawiony na Mistrza.
- Ryzykujesz życie.

- Jesteście mi zbyt bliskie. Nie mogę pozwolić na manipulacje wami.
- Za rok będziesz miał nowych podopiecznych. Nie marnuj sił.
- Oby – przytulił mnie czule. Wtedy miałam już dość przeżyć. Przeczuwałam, że kolacja będzie katastrofą. Brakowało mi już sił i pewności siebie.
- Muszę iść – skierowałam się w stronę drzwi.
- Proszę, nie bądź ślepa – poradził mi na do widzenia.

\* \* \*

Stałam przed ogromnymi drzwiami do pokojów Wielkiego. Gładziłam swoją sukienkę i wrywałam z niej niepotrzebne nitki. Spojrzałam na służącego i z kwaśną miną skinęłam głową, żeby otworzył drzwi. Mężczyzna w średnim wieku usłuchał mojego niemego rozkazu. Czułam motylki w brzuchu, a w myśli stale powtarzałam: „Proszę, spraw, żebym wyszła od ciebie szczęśliwsza”. Weszłam do pierwszego pomieszczenia. Było ono sporych rozmiarów. To pokój, w którym odpoczywał i relaksował się Mistrz. Naprzeciwko wejścia stała duża biblioteczka. Ułożono na niej miliony książek różnej grubości i o różnej tematyce. Kiedyś znalazłam tam nawet romanse. Po prawej stronie pod samą ścianą stały fotele i dużych rozmiarów sofa. Meble były w kolorze smakowitego biszkoptu, skórzane i tak miękkie, że miało się wrażenie, jakby siadało się na chmurze. Siedziska

zajmowały tyle miejsca, że polakierowany, drewniany stół w kolorze ciepłego brązu stał na środku pomieszczenia. W jego centralnej części zawsze ułożony był okrągły, koronkowy obrusek, a na nim srebrny flakonik z kwiatami. Patrząc na nie, poczułam ukojenie, bo były to niebieskie róże – moje ulubione. Ciężko było je zdobyć w Trytii. Na przeciwnej ścianie powieszono portrety Wielkiego, Billa, nawet Aresa – ukochanego psa Mistrza. Tuż przy wejściu stał po lewej stronie czarny fortepian, na którym często grała Rose. Podłogę pokrywał miękki i puchaty dywan w kolorze ścian, czyli – gorącej mlecznej czekolady. Obok portretów, tuż przy biblioteczce, było wejście do pokoju jadalnego. Zbliżałam się do niego z uśmiechem na ustach, ale nagle zniknął mi on z twarzy. Usłyszałam kobiece śmiechy i rozbawiony głos Wielkiego. Myślałam, że zjemy kolację tylko we dwoje. Chciałam zawrócić, ale wiedziałam, że nie postąpiłabym dobrze. Musiałam znieść kolejne przeszkody. „Niech ten dzień się skończy” – myślałam rozpaczliwie. Jadalnia była większa od poprzedniego pokoju. Przy wejściu trzeba było skierować się w lewo, bo po prawej stronie była ściana koloru cappuccino. Wisiały na niej pejzaże i obrazy martwej natury. Na środku pomieszczenia stał długi na kilka metrów prostokątny stół nakryty śnieżnobiałym obrusem. Przy nim ustawiono kilka bogato złoconych i srebrzonych krzeseł z miękkimi obiciami, aby spożywanie posiłków było czystą przyjemnością. Nie to, co w szkolnej stołówce. Z prawej strony od stołu, pod ścianą, było kilka czarnych komód i szafek ze złotymi rączkami. Tam chowano całą

zastawę i nakrycia. Za stołem zamiast ściany były okna oraz szklane drzwi prowadzące na duży balkon. W owej prawej ścianie było znowu wejście do gabinetu Wielkiego. Naprzeciwko, w kącie, stała czarna, skórzana sofa, równie wygodna jak w poprzednim pomieszczeniu. Wspaniale oglądało się z niej niebo, gwiazdy i chmury. W centralnej części, nad głowami, wisiał rozłożysty kryształowy żyrandol z setką świec. Wyglądało to bajecznie.

Wzięłam głęboki wdech. Przygotowywałam się na najgorsze. I, jak się miało okazać, słusznie... Weszłam z gracją. Na wstępie mnie zamurowało. Na końcu stołu siedział rozbawiony Wielki, miał lekko rozpiętą białą koszulę, a na jego nogach wiła się ze śmiechu Suzy z jego świty. Często przychodziła na różne lekcje, przechadzała się wokół szkoły, zamku. Zdawała Wielkiemu relacje z naszych zachowań i tego, czym zajmujemy się po zajęciach. Była jakby szpiegiem. Służące ubrane były w czarnobiałe uniformy. Stały przy komodach.

Gdy mnie zauważyły, momentalnie ze współczuciem spuściły głowy. Poczułam się zażenowana i upokorzona. Na nowo, jak na zajęciach ze Starsem, poczułam gniew i złość. Rozluźniłam ciało, zacisnęłam zęby, uniosłam dumnie głowę i przybrałam zimny wyraz twarzy.

– Chciałeś mnie widzieć – powiedziałam chłodno. Oboje zwrócili na mnie uwagę. Wielki uśmiechnął się do mnie czarująco, a ja pozostałam niezmiennie obojętnie zimna. Suzy patrzyła na mnie chytrym wzrokiem i z niewinnym wyrazem twarzy zeszła z kolan Mistrza. Była ubrana

w bardzo krótką, błyszczącą, ciemnozieloną sukienkę o grubych ramiączkach. Idealnie kobieca figura, rozpuszczone, falujące, kasztanowe włosy do połowy pleców, chód urodzonej modelki. „I co się cieszysz, suko?”. Wielki pozapinał guziki w koszuli, poprawił czarną marynarkę i wstał.

- Owszem, i bardzo się cieszę, że przyszedłeś – powiedziała melodyjnie.

- Nie wątpię – mruknęłam. Mistrz uśmiechnął się na to czarująco. Czułam, jakby patrząc na mnie, ciągle mnie przytulał. Biła od niego aura ciepła. Skubany potrafił wyczuć w sekundę, czego mi potrzeba. Staralam się temu oprzeć, ale było to cholernie trudne.

- Suzy, zostaw nas – spojrzał na nią z lekką pogardą. „No tak, teraz masz nową zabawkę”.

- Wedle twojego życzenia – dziewczyna starała się ukryć zakłopotanie spowodowane zmianą tonu mężczyzny. Służące za nią cichutko prychnęły śmiechem. Suzy wykonała półukłon. Minęła mnie bez kontaktu wzrokowego. „O nie, niunia poczuła się urażona!”. Nie odczuwałam żadnego zwycięstwa ani satysfakcji. Wiedziałam, że wróci do niego w podskokach, a on znów będzie się do niej uśmiechał. Wielki miał trudny charakter, do tego zmienny. Dlatego do końca moich dni pozostanie dla mnie jedną wielką, ale i przystojną zagadką.

Mistrz ręką wskazał mi krzesło stojące tuż przy nim, w rogu stołu. Spojrzał na mnie zachęcająco. Na stole stały już naczynia, sztucce i liczne owoce w posrebrzanej misie.

Odetchnęłam głęboko. „No to zaczynamy zabawę”. Szłam do niego wolnym krokiem, nie tracąc jego twarzy z oczu. Jak zawsze wyglądał olśniewająco. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę. Jak już mówiłam, był wysoki, ale dzięki obcasom prawie sięgałam do jego twarzy. Jego ciało było dobrze zbudowane, umięśnione, jędrne i silne. Twarz miał szczupłą, pociągłą, z lekkim zarostem. Ciemnobrązowe włosy zaczesał delikatnie w tył. Oczy i uśmiech były obłądne. Delikatnie usiadłam na wysuniętym przez niego krześle.

– Białe, czerwone? – spytał.

– Dzisiaj woda – odpowiedziałam. Cmoknął niezadowolony.

– Takie pyszności dzisiaj, że to karygodne nie popić tego szlachetnym trunkiem – protestował.

– Jestem zbyt zmęczona, a chcę się nacieszyć rozmową z tobą, Panie – uśmiechnęłam się do niego niewinnie.

– Jak się umawialiśmy? – przysunął twarz niebezpiecznie blisko do mojej.

– Chcę wody, Veron – poprosiłam.

– Oczywiście, kochanie – uśmiechnął się figlarnie. – Dlaczego zawsze robisz mi na złość i każde nasze spotkanie zaczynasz tak formalnie? – nalewał bezbarwną ciecz do mojego kieliszka. – Od tylu lat proszę cię, żebyś mówiła mi po imieniu.

– Lubię się z tobą droczyć – upiłam łyk. Jeszcze parę godzin temu stałam przed nim sztywno jak struna, sucho odpowiadając. Jednak gdy byliśmy sami, cała ta otoczka norm i zasad ulatywała w zapomnienie. Czułam się



swobodnie, nawet nie miałam ochoty przed nim klękać i oddawać mu czci. W tamtych momentach nie był królem, a bliskim przyjacielem. Czasem nawet kimś więcej.

Nalał sobie czerwonego wina. Do pokoju weszło dwóch kelnerów. Każdy miał srebrną tacę, a na niej talerz z jedzeniem. Przede mną pojawiły się cztery pierożki wielkości pięści dziecka.

– Dzisiejsza kolacja będzie złożona z naszych ulubionych dań – poinformował mnie Verton. – Wiem, jak ciężki był dla ciebie dzisiejszy dzień – złapał mnie za rękę, mówiąc czule. – Proszę, czerp z tego radość i relaksuj się – gładził moją dłoń. Podziękowałam mu uśmiechem.

– To co? Zgadujemy nadzienia? – zaproponowałam. Mistrz kiwnął radośnie głową. Spróbowaliśmy pierwszego pierożka.

– Ser – powiedzieliśmy jednogłośnie. Drugi pierożek.

– Mięśny – znów zgodny chór. Trzeci.

– Szpinak? – spytałam. Popatrzyliśmy na siebie niepewnie.

– Raczej tak – smakował kolejny kęs. Odłożyłam sztućce i natychmiast sięgnęłam po wodę. Nienawidziłam tego smaku. Moja mimika wyraźnie na to wskazywała. Wielki z rozbawieniem wytarł usta serwetką.

– Ale absolutnie ci nie daruję. Musisz go zjeść – powiedział.

Spojrzałam na niego jak na idiotę.

– Nie ma opcji – prychnęłam. Delektowałam się wodą. Ver-ton uśmiechnął się i sięgnął po mój widelec. Zaczął kroić ledwo ruszonego pierożka. Nadział kawałek i przystawił mi do

ust. Ze śmiechem odwróciłam głowę.

– Otwieramy usta – mówił. Pokręciłam głową. – Szpinak jest zdrowy. Potrzebujesz witamin – nalegał.

– Mam je w innych warzywach – odwróciłam się do niego, ale unikałam widelca.

– Proszę... Tak ładnie... Dla mnie... – zrobił uroczą minę. Ewidentnie wygrał. Przymknęłam oczy na sekundę i głośno westchnęłam. Nakarmiona przez niego, zjadłam tego okropnego pierożka.

– I co, było tak źle? – spytał usatysfakcjonowany. Kiwnęłam głową, pijąc duszkiem wodę. Verton się roześmiał.

– Wybacz mi, ale to dla twojego dobra – popatrzył na mnie czule i pocałował w dłoń.

– Oczywiście – udałam, że jestem mu ogromnie wdzięczna, co wywołało uśmiech na jego twarzy. Uwielbiałam go takiego. Opiekuńczy, troskliwy... Wiedziałam jednak, że ta bańka za moment pryśnie. Zacznie się wypytywanie o to, co się stało, jak się czuję. Nie wiedziałam, jak to przyjmie. Drugie danie było wyśmienite! Polędwiczki w intensywnie grzybowym sosie z ziemniakami i podsmażanymi buraczkami. Po tym już naprawdę czułam się syta. W trakcie jedzenia żartowaliśmy i śmialiśmy się. Verton opowiadał mi o spotkaniu z jednym z Senatorów.

– Mówię ci, same nudy – popijał wino. Wiedziałam, że to nieprawda. Uśmiechnęłam się tylko i sięgnęłam po wodę. On uwielbiał rządzić, dyrygować, mieć zawsze ostateczny głos. Słusznie. Był urodzonym przywódcą. Nasz kraj miał

sojuszników, był bogaty, ludziom żyło się dostatnio i dobrze. Fakt, nigdy nie wychodziłam poza mury zamku, jedynie dwa razy byłam u rodziców Diany. Wyglądali na radosnych ludzi. Mieli pełne spiżarnie, dom i posiadłość utrzymane w porządku. Dlatego nie miałam podstaw, by nie ufać słowom Mistrza.

– Zjedzmy deser na balkonie – zaproponował. – Jest taka piękna, gwiazdzista noc.

Kiwnęłam głową. Zaraz. Noc? Spojrzałam na zegar wiszący na ścianie naprzeciwko mnie. Wskazywał za dziesięć dwudziestą pierwszą. Ja ten czas zleciał! Posmutniałam. Przesłuchanie zaraz się zacznie...

Wstałam od stołu. Mistrz ustąpił mi. Wolnym krokiem ruszyłam w stronę balkonu. Veron szedł tuż za mną. Czułam jego oddech na karku. Otworzył szklane drzwi, przesuwając je w prawo. Natychmiast chłodny, kwietniowy wiatr zaczął bawić się moimi włosami. Zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Po tak sytej kolacji potrzebowałam orzeźwienia. Podeszłam do zimnej, kamiennej balustrady. Przymknęłam oczy i rozkoszowałam się cichutkim szmerem liści drzew otaczających zamek. Nawet wiatr miał hipnotyzujący zapach, który pieścił nozdrza. Byłam zrelaksowana, odprężona.

W tamtym momencie było mi to niesamowicie potrzebne.

– Ann i przyroda. Związek idealny – po dłuższej chwili usłyszałam szept Verona. Odwróciłam się. Siedział na krześle z jasnych, bambusowych pałek wyściełanym ogromną, puchatą poduszką w kolorze czekolady.

– Zaczynam być zazdrosny – przymrużył oczy.

- Jeszcze się z tym nie pogodziłeś? – uśmiechnęłam się czarująco i usiadłam na krześle tuż obok niego.

- Mogłaś tam jeszcze chwilę zostać.

- Dlaczego? – spojrzałam na niego pytająco.

- Wyglądałaś bajkowo i tak nieziemsko – Verton patrzył w gwiazdy. – Mówiłem ci już, że wyglądasz pięknie? – spojrzał na mnie.

- Jakieś sto razy – odpowiedziałam, czerwieniąc się. Mistrz z uśmiechem pogładził mój policzek. Jego dłonie były trochę szorstkie, ale miłe w dotyku.

- Zdecydowanie rozgadałem się podczas posiłku, za co serdecznie cię przepraszam.

- Przyzwyczaiłam się do twojego gadulstwa.

Roześmiał się.

- Ech, przy nikim tyle nie mówię. Przy wszystkich muszę ostrożnie dobierać słowa. Ale ty sprawiasz, że mam ochotę wręcz do wypowiedzi ci się ze wszystkiego. Wiem, że mnie wysłuchasz.

- Miło mi – kiwnęłam głową.

- A więc pozwól na zmianę ról – wziął delikatnie moją dłoń. – Opowiedz mi, co dzisiaj się wydarzyło na zajęciach ze Starsem i później – spojrzał na mnie badawczo. Zawsze, za każdym razem chciałam mu o wszystkim powiedzieć. Jednak jakaś siła wewnętrzna blokowała głos i nie pozwalała na właściwe sklecenie zdań. To był strach. Bałam się potwornie, że Verton będzie chciał w jakikolwiek sposób zemścić się na tych osobach, myśląc, że robi mi przysługę i okazuje swoją

opiekuńczość. Oczywiście nie zawsze tego dokonywał, ale wielu już ludzi odsunęło się ode mnie z przyczyn, które doskonale rozumiałam. Ja również nie chciałabym mieć uprzykrzonego życia tylko dlatego, że pokłóciłam się z wychowanicą Mistrza lub powiedziałam, że taki strój jej kompletnie nie pasuje. Tłumaczyłam im wtedy rozpaczliwie, że to nie była skarga. Chciałam ich zatrzymać przy sobie za wszelką cenę. Mówiłam, że taka uwaga wymsknęła mi się podczas zwykłej rozmowy, kiedy Verton wypytywał, jak mi minął dzień. Później, kiedy zaczynało mnie blokować przy zwierzeniach, domagał się tego siłą. To była loteria. Albo strzeliło mu coś do głowy, żeby pokazać, że nie jestem byle jakim człowiekiem i inni muszą odnosić się do mnie z szacunkiem, albo zaskakująco odpuszczał. Wysłuchiwał tylko opowieści, dawał rady lub pocieszające słowa, głaskał po główce i zostawiał temat. – Zapewne jakieś szczegóły znasz – zaczynałam się stresować.

– Tak – kiwnął głową. – Bójka Faba z Felixem.

– Właśnie, co z nimi? – spytałam zatroskana.

– Z tego, co wiem od Billa, to obaj dostali naganę i ostrzeżenie, że są na celowniku. Każdy kolejny wybryk przesądzi o wyrzuceniu ich z Akademii – Verton mówił to tak spokojnie.

– Nie wiesz, o co poszło?

– Nie i myślę, że Bill też tego nie wie. Zajął się tą sprawą dość powierzchownie.

Posmutniałam. Żeby nie pytać o przyczyny?! Może dzięki temu udałoby się załagodzić relacje między nimi.

– Co się dzieje, Ann? – Verton wybudził mnie z rozmyślań.

– Martwię się o Faba. Nie dość, że oberwał, to jeszcze się pochorował.

– Pochorował? – Mistrz był zdziwiony.

– Przed zajęciami fizycznymi był blady jak księżyc. Wymiotował, miał nudności, dostał notkę.

– Dziwne. Rano był jeszcze zdrowy?

– Tak. Wyglądał trochę mizernie, ale tryskał energią.

W tym momencie poczułam, że za dużo powiedziałam. Prąd przeszedł mi po kręgosłupie.

– Być może to jakiś wirus. Nie zaprzataj sobie nim głowy – przybrałam pewniejszy ton. Błagałam go w duchu, żeby zapomniał, co powiedziałam. Nie chciałam tak bezmyślnie skrzywdzić chłopaka, zwłaszcza że od jakiegoś czasu coraz lepiej się dogadywaliśmy. Niemożliwe, żeby śniadanie mu zaszkodziło, bo produkty były pod ścisłą kontrolą. Owocowa przekąska również. Musiał zjeść coś dodatkowego. Skóra zaczęła mi cierpnąć. Podjadanie było surowo zabronione. Chociaż zaraz, zaraz. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy Fab rzeczywiście był na śniadaniu...

– Chcesz mi o czymś powiedzieć? – spojrzał na mnie zagadkowo. Cholera. Zapomniałam się. Przecież on był potężnym magiem. Sama potrafiłam wyczuć zmianę emocji, aury rozmyślań drugiego człowieka. On był w tym jeszcze lepszy.

– Tylko to, że martwię się o Faba – natychmiast przyjął nutę współczucia, a wyrzuciłam z serca podejrzliwość.

- O niego? - Verton był zdziwiony. Rozmowa schodziła na dość niebezpieczny tor.

- Tak. Ostatnio tak jakoś się polubiliśmy - mówiłam dumnym tonem, żeby zamącić trochę w głowie Mistrza.

- Interesujące - upił łyk wina. Wiedziałam, że teraz będzie baczniej przyglądał się Fabowi. Cóż, przynajmniej zdążę go uprzedzić. Nagle ktoś zastukał w szybę.

- Śmiało - odpowiedział Wielki. Na balkon weszło dwóch kelnerów. Jeden niósł niewielki, okrągły, szklany stolik, a drugi tacę z dwoma kawałkami ciasta czekoladowo-wiśniowego. Dawno nie jadłam słodczy, więc w ustach poczułam napływ śliny.

- Rozpieśćmy trochę nasze podniebienia - powiedział Verton, gdy kelnerzy już wyszli. Nie zdążyłam jeszcze zjeść drugiej łyżeczki wyśmienitego deseru, a już Wielki ocknął się z płytkiego uśpienia.

- Czekam na twoją opowieść - powoli wyjmował łyżeczkę z ust. Rozsiadłam się wygodnie, patrzyłam w niebo, starałam się utrzymać pewny, niedbały ton. Tak, jakbym chciała mu zasugerować, że przeszłość mnie już nie dotyczyła i to, co się zdarzyło, traktowałam z dystansem. Choć prawda była zupełnie inna...

- Stars wpadł na genialny pomysł ćwiczeń w parze - zaczęłam - z nieznaczną zmianą zasad. Partnerami zostali nasi najbliżsi przyjaciele - aż sama sobie w duchu biłam brawo za brak jakiegokolwiek zawahania w głosie.

- Odważnie - skomentował. - Kontynuuj.

- Domyślasz się, z kim byłam w parze? – spojrzałam na niego, unosząc brew.

- Nie mam pojęcia – wybałuszył oczy. – Z Dianą – dodał pospiesznie, chichocząc.

- Szybko łączysz fakty – odwzajemniłam uśmiech.

- Nie pozwalaj sobie – powiedział z ironią, zajadając się ciastem. Ja swój talerzyk wciąż trzymałam w rękach. Nie byłam w stanie przełknąć choćby kęsa. Za bardzo skupiałam się na utrzymaniu emocjonalnej równowagi.

- Już na rozgrzewce moje rany się otworzyły – Verton przestał już tak pałaszować ciasto, a skupił się na moich słowach. – Diana oczywiście z bolącym sercem wygrywała. W połowie niezbyt trudnego toru moje lewe ramię było już całe ubabrane we krwi i kurzu. Jak myślisz, na jakiej pozycji skończyłam? – spojrzałam na niego uważnie. Verton był wyraźnie rozdrażniony. Skupił się na gwiazdach. Jego wyraz twarzy spłoszył mnie, bo nie wiedziałam, co było powodem takiego zachowania. Natychmiast jednak powróciłam do równowagi.

- Na przegranej – na jego twarzy pojawił się niesmaczny grymas. – Jaka była kara?

- Wygrany uderzał otwartą dłońią przeciwnika w policzek – powiedziałam bardzo spokojnie.

- Obyło się bez problemów? – głos Vertona wyraźnie stawał się zachrypnięty. Cholera. Ta sztuczka – obojętność – działała na innych, ale nie na Mistrza. Poczułam się jak w ślepym zaułku, otoczona przez wściekłe psy. Nie ma



ucieczki. Postanowiłam nie tracić fasonu.

– Oczywiście, że nie – delikatnie się uśmiechnęłam. – Przyjaciel stawał naprzeciwko przyjaciela. Nie mamy serc z kamienia.

– Och, naprawdę? – spojrzał na mnie z ironią. Zrozumiałam, że walka już się zaczęła. Teraz w mojej gestii było ochronić Dianę przed Mistrzem. Tylko tak mogłam jej się odwdzięczyć.

– Mimo wszystko każdy wykonał swoją karę.

– Wy również? – nie dawał za wygraną.

– Tak – spojrzałam na niego z udawanym zaskoczeniem. – Dziwi cię to?

Verton nic nie odpowiedział, tylko patrzył tępo przed siebie.

– Od pewnego czasu bardzo mnie zawodzisz – jego ton stawał się niebezpieczny. – To się zaczyna robić nie do zniesienia.

„Nie poddawaj się, Ann, on na to liczy”.

– Ranisz mnie tymi słowami – naprawdę poczułam się urażona. Wszystko, co do tej pory powiedziałam, było prawdą!

– Ty zaś czynami – spojrzał na mnie groźnie. – Ktoś chyba ma na ciebie zły wpływ – zmrużył powieki.

– Przestań – prychnęłam. – Dlaczego nie możesz zrozumieć, że ludzie się zmieniają? Może dojrzałam i nie mam potrzeby donosić ci o każdym problemie? – od nadmiaru emocji w oczach pojawiły mi się łzy. „Zwłaszcza że wielu poważnych problemów nie pomogłeś mi rozwiązać, co

jeszcze bardziej raniło”.

– Wydawało mi się, że cię znam – Verton wyraźnie złagodniał – że jestem cię pewny. A teraz wygląda to tak, jakbyś z ogromną siłą odpychała się ode mnie.

– Nie o to chodzi – psychiczne zagranie... Nie mogłam się temu poddać.

– Więc proszę, wyjaśnij mi – rozsiadł się wygodniej na krześle. Poczułam się bardzo niekomfortowo. To było jak cisza przed potężną burzą. Musiałam uważać na słowa.

– Po prostu – odetchnęłam głęboko – przez swoją opiekuńczość i troskę zbyt mocno na mnie naciskasz, osaczasz mnie. Z jednej strony jest to bardzo kochane, ale z drugiej... Pozwól mi swobodnie oddychać – byłam z siebie zadowolona, poszło mi świetnie. Spojrzałam ukradkiem na Vertona. Kiwał tylko głową. Kompletnie nie wiedziałam, jak to przyjmie. Nie był wyczulony na krytykę, ale... Właśnie, on był postacią zagadkową.

Poczułam, że aura między nami została totalnie zdewastowana. Było już późno, zmęczenie narastało.

– Lepiej już pójdę – szepnęłam, wstałam z wygodnego krzesła, zostawiając ledwo tknięte ciasto. – Dziękuję za zaproszenie i życzę spokojnych snów – na odchodne, jak zawsze, wykonałam delikatny ukłon. Ze spuszczonego wzrokiem przestąpiłam próg balkonu. W jadalni nie było już nikogo. Służące z pewnością wróciły do swoich obowiązków, a być może nawet poszły już spać. Nagle poczułam silny ucisk na ramionach.

- Nie pozwolę tak po prostu ci odejść - Verton szeptał mi wprost do ucha. Jeszcze bardziej się przybliżył, splótł ręce na linii moich obojczyków, twarzą dotykał szyi i delikatnie mnie przytulił. To chyba było coś, czego najbardziej potrzebowałam. Emocje sięgnęły zenitu. Kilka łez spłynęło po moich policzkach. Lekko drżałam. Verton obrócił mnie i znów przytulił. Mogłam śmiało wpijać swoje chude palce w jego umięśnione plecy. Mistrz gładził mnie po głowie.

- Masz rację - szeptał. - Oboje dojrzewamy. Nie mam prawa traktować cię jak małej dziewczynki - z trudem przełknął ślinę - bo od dawna nią nie jesteś.

I znów mętlik w głowie. Czy mówił szczerze, czy to była jego kolejna gra? Z niemocy mój uścisk osłabł.

- Od teraz będę się starał patrzeć na ciebie zupełnie inaczej. Jak na dorosłą, rozumną kobietę. Nie chcę tracić twojego zaufania...

Jego oddech był ciężki, a wypowiedziane słowa... One zbyt dużo zmieniały, żeby mogły być prawdziwe. Zorientowałam się, że Mistrz już stracił moje zaufanie, bo podważałam każde jego słowo i zastanawiałam się nad nim miliony sekund. Za chwilę tłumaczyłam sobie, że to wszystko dla mojego dobra, on świadomie i celowo nie skrzywdziłby mnie tak, żebym później nie mogła się podnieść. Działałam i myślałam jak w amoku. Potrzebowaliśmy czasu, żeby każdy z nas mógł uświadomić drugiemu, że może znów bezgranicznie na nim polegać. Bo przecież był taki okres, że widok Vertona przyprawiał mnie o długotrwały uśmiech, rozmowy z nim dodawały skrzydeł, wędrówki były czystą przygodą. Musiał

być taki okres!

\* \* \*

Co rano Nath budził nas, mówiąc: „Dzień dobry!” i potrząsając delikatnie naszymi ramionami. Odchodził dopiero, gdy w pełni otworzyłyśmy oczy. Obudziłam się twarzą do ściany. Czułam, jak ramię zaczyna pulsować i boleć. Leki przestały działać. Nie byłam wieczorem u Stephana. Uznałam, że zrobiło się zbyt późno, więc gabinet mógłby być już zamknięty, a mój stan utrzymywał się na stabilnym poziomie. Nie chciałam wybudzać staruszka. Kiedy usłyszałam szcęk zamykanych drzwi, nie miałam najmniejszej ochoty wychodzić z łóżka. Moja głowa przypominała balon napełniony wodą. Nie byłam w stanie składnie myśleć.

– Anuś – usłyszałam melodyjny głos z za pleców. Tylko Diana tak do mnie mówiła, gdy byłyśmy same. Po wczorajszym dniu tak bardzo pragnęłam zgody między nami. Po powrocie z kolacji przyjaciółka już spała. Coś jej się nawet śniło, bo majaczyła. Wtedy moje serce ścisnął żal. Pierwszy raz tak się pokłóciłyśmy.

Odwróciłam się twarzą do Diany. Patrzyłam na nią zmęczonymi oczami. Dziewczyna już po chwili wbiła wzrok w podłogę. Siedziała na swoim łóżku w ślicznej bladoróżowej pidżamce. Brązowe włoski nieśmiało wychylały się w różne strony świata.

- Chciałam... - mówiła przyciszonym głosem, jakby tuż obok niej spało niemowlę - chciałam spytać, jak się czujesz - nie podnosiła wzroku.

- Bywało lepiej - odpowiedziałam lekko zachrypniętym głosem.

- Nawet nie usłyszałam, kiedy weszłaś - na jej twarzy zawitał skrywany dotąd uśmiech.

- Byłaś zmęczona, więc mocno spałaś - ziewając, usiadłam na łóżku. Ból na moment zawładnął skroniami i zobaczyłam migoczące, szare plamki. Przetarłam oczy, zamrugałam parę razy.

- Przepraszam - powiedziałam, patrząc w podłogę. Nie miałam tyle odwagi, żeby spojrzeć jej w twarz. Byłam emocjonalnym tchórzem. Diana nic nie odpowiedziała. Poczułam, że właśnie wtedy nastąpił odpowiedni moment na wyrzucenie z siebie wszystkich myśli.

- Przepraszam - powiedziałam pewniej, patrząc jej prosto w oczy. - Zagalopowałam się. Powiedziałam zbyt wiele bez zastanowienia. I to były czyste bzdury. Byłaś, jesteś i będziesz moją najlepszą przyjaciółką, bratnią duszą i nic za cholere tego nie zmieni. A czyny... - przełknęłam ślinę i nabrałam powietrza. - Dziękuję, że nie chciałaś bezmyślnie zrobić mi krzywdy, że ryzykowałaś, aby się ze mną zrównać na torze, że ciągle czułam na sobie twój opiekuńczy wzrok... - więcej nie dałam rady powiedzieć, bo głos mi się załamał. Diana siedziała naprzeciwko mnie i nie udawało się jej już powstrzymać płaczu. Łzy ciekły jej strumieniami po rumianych policzkach. Czułam, że atmosfera uległa

oczyszczeniu. Dziewczyna natychmiast się zerwała i ruszyła do mnie pospiesznie. Siadła obok i mocno przytuliła. Ból ramienia już nie miał znaczenia.

– Anuś... – jęczała, a ja również wybuchłam niepohamowanym płaczem. Siedziałyśmy w uścisku dość długo, aż do momentu wyrównania się naszych oddechów. Usłyszałyśmy pukanie do drzwi.

– Proszę – jak zwykle odpowiedziałyśmy jednocześnie. Do pokoju, jak zawsze, wszedł Nath, żeby się upewnić, że już wstałyśmy.

Popatrzyłyśmy na siebie uradowane naszym niezauważalnym zgraniem i tym razem wybuchnęłyśmy śmiechem. Zachowanie istnych wariatek. Nath stanął na środku osłupiały. Nie wiedział, co się działo. Po chwili, gdy się uspokoiłyśmy, uśmiechnął się ciepło.

– To ja w takim razie nie będę wam przeszkadzać. Tylko pamiętajcie, że trzeba zjeść śniadanie – powiedział wyraźnie zadowolony i lekkim krokiem wyszedł z pokoju.

– Teraz już ci nie odpuszczę. Czekam na relację z walki, a w szczególności z kolacji – Diana zachichotała. Pokój był przepełniony aurą radości i szczęścia.

\* \* \*

Siedziałyśmy w stołówce i zajadałyśmy się mieszanką sałaty, pomidora, świeżego ogórka oraz smażonej, wyśmienicie przyprawionej piersi z kurczaka. Opowiadałam

jej o walce, a ona entuzjasmowała się każdym zadany cios. Na sali było bardzo gwarno. Gdzieś było słycać głośniejsze śmiechy. Zauważyłam, że podobna atmosfera panowała podczas kolacji. Jedynie obiad spożywałam w lekkim szmerze. Wszyscy byli zmęczeni i głodni po zajęciach.

- A o kolacji opowiem ci w pokoju - mrugnęłam do Diany i sięgnęłam po szklanę soku jabłkowego. Zajęłyśmy nasze stałe miejsce przy stole sąsiadującym z oknem. Byłyśmy zwrócone twarzą do sali, więc miałyśmy oko na wszystkich. Znajdowałyśmy się z dala od centrum pomieszczenia, bliżej jego rogu tuż przy wejściu.

- Za powrót do normalności - Diana uniosła szklanę. Zawtórowałam jej. Podczas ubierania się w szkolne uniformy na spokojnie wyjaśniłyśmy sobie kwestię naszych zmian. Ja obiecałam być znów bardziej otwarta i czujniejsza na brutalność, zaś Diana przyrzekła nigdy więcej się nie poddawać i być znów pełną optymizmu dziewczyną. Obie wiedziałyśmy, że nie nastąpi to z chwili na chwilę, ale od czegoś trzeba zacząć.

Do sali weszła spóźniona Verna. Gdy wzięła pełną miskę od kucharki, zaczęła wyraźnie kogoś szukać wzrokiem. Nie były to jej towarzyski, bo już je mijała i się z nimi witała. Kawalek mięsa nie chciał przejść mi przez gardło. Zerknęłam na Dianę. Skupiła się na polowaniu na stale uciekającego jej pomidora.

- Chyba Verna cię szuka - powiedziałam nieśmiało. Dziewczyna spojrzała na mnie pytająco. Głową wskazałam jej

kierunek. Diana spojrzała w tamtą stronę. Po chwili wzrok Verny i jej spotkały się w tym tłumie. Pierwsza uśmiechnęła się radośnie i pomachała, zachęcając dziewczynę do dołączenia do jej grupy. Patrzyłam z obawą na Dianę. Nie wiedziałam, jak miałam się zachować. Fakt, byłam o nią zazdrosna, ale nie chciałam być zaborcza. Przyjaciółka jednak zdecydowanie pokręciła głową i uniosła kciuk ku górze. Dała Vernie do zrozumienia, że ze mną jest jej dobrze. Uspokoiliłam się.

– Jeśli chcesz, możesz do nich iść – starałam się, żeby ton mojego głosu był neutralny.

– Nawet nie ma takiej opcji – Diana uśmiechnęła się, popijała sok. – Z nimi mogę co najwyżej od czasu do czasu porozmawiać.

Nie znają mnie tak dobrze, jak ty.

Uśmiechnęłam się słabo. „Wczoraj właśnie z nimi siedziałas...”.

– Wczoraj wydarzyło się zbyt dużo głupstw – jakby czytała mi w myślach. – One, owszem, są miłe, przyjacielskie... Ale uwierz mi, podczas kolacji już z nimi nie siedziałam.

Ta odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Dlaczego? Wydawało mi się, że czerpiesz z tego przyjemność. Później jeszcze ten spacer...

Diana utkwiała we mnie wzrok.

– Nath mi powiedział – uśmiechnęłam się nieśmiało.

– Kochany człowiek na właściwym miejscu – rozczuliła się dziewczyna. – Owszem, obiad zapowiadał się dobrze, ale



z każdą minutą było coraz gorzej – wyraźnie spochmurniała – One są takimi osobami, że czuję, że mogę im powiedzieć wszystko. Pomimo to istnieje między nami jakaś granica. Trochę nie możemy do siebie dotrzeć. Nie mam takiej potrzeby, że kiedy tylko się z kimś pokłóczę, to wszystko na niego zrzucam... – Diana zreflektowała się. Chyba za dużo powiedziała.

– Zły? – dokończyłam za nią. Absolutnie nie byłam wściekła. Ani trochę. Doskonale wiedziałam, że Verna i jej koleżaneczki nie będą mówiły o mnie dobrze. Nie przeszłoby im to przez gardło. Jednak zawsze będzie mnie zastanawiał powód takiego zachowania.

– Jeszcze raz cię przepraszam – Diana wyraźnie się spieszyła. Pokręciłam głową, biorąc łyk soku.

– Kochana, umówmy się, że od dzisiaj wszystko oddzielamy grubą kreską – zaproponowałam. Diana z uśmiechem przytaknęła. – Ale żeby była jasność – mówiłam to z czystej ciekawości – z Verną chyba jednak dość dobrze się dogadujesz – wszystko, co dotyczyło mojej przyjaciółki, bardzo mnie interesowało.

– Tak, z nią nie mam problemów – zaczęła nieśmiało. – Obie lubimy śpiewać, patrzeć w gwiazdy, spacerować po ogrodzie.

– Ze mną też bardzo często spacerujesz między roślinkami – uśmiechnęłam się do niej chytrze.

– No... tak... – Diana była wyraźnie zdezorientowana. Nie wiedziała, czy popełniła jakąś gafę.

– Więc teraz odpowiedz mi bardzo szczerze – przybrałam poważny ton – wiesz, że każde twoje kłamstwo wykryję. Z kim lepiej ci się spaceruje? – zbliżyłam się do niej z głupkowskim uśmiechem.

– No wiesz co! – rozbawiłam Dianę i dostałam od niej w żebra. Obie się zaśmiałyśmy. Spytałam o to tylko dla rozładowania sytuacji. Doskonale ją rozumiałam. To tak jakby ona mnie spytała, z kim wolę przebywać – z nią czy Mistrzem. W pierwszej chwili też nie wiedziałabym, co powiedzieć. Myślę, że dopiero po głębszym zastanowieniu podjęłabym decyzję. W tej chwili byłaby to Diana... Nagle przyszło mi coś na myśl.

– Widzisz gdzieś Faba? – zapytałam. Diana rozejrzała się po sali.

– Nie... Dziwne... – zmartwiła się. Również poczułam niepokój. Zauważyłam roześmianą mordę Felixa, oszpeconą pięknym fioletowym sińcem pod okiem i zadrapanym policzkiem. Faba jednak nigdzie nie było. Znów próbowałam sobie przypomnieć zeszłe śniadanie... Chwila... Na obiedzie też go nie było! Ale to może przez tą całą bójkę i stan zdrowia. Oby... Coś było nie tak...

\* \* \*

– No i kto tu w końcu raczył do mnie zawitać! – przywitał mnie Stephan. Siedział za dębowym biurkiem w pierwszej części pomieszczenia, na wprost wejścia.

– Moja zacna osoba – ukłoniłam się uroczyście.

– Nie pleć, nie pleć, miałaś być wczoraj – bulwersował się. Niebezpiecznie szybko położył rękę tuż obok kubka pełnego kawy.

– Jeden ruch więcej i twój gorący energetyk pojawi się na podłodze – ostrzegłam, idąc do drugiej części pomieszczenia z łóżkiem lekarskim, medykamentami i czterema krzesłami.

– Grozisz mi? – próbował powiedzieć to w zabawny sposób. Zauważyłam, że chyba nie rozumiał, co miałam na myśli. Odwróciłam się do niego.

– Lojalnie uprzedzam. Masz rękę za blisko kubka – Stephan wyraźnie się speszył i delikatnie cofnął kończynę. Nie był pewny w tym, co robił. Usiadłam na łóżku.

– Gdzie twoje okulary? – spojrzałam na niego badawczo.

– A właśnie – wstał od biurka, stanął naprzeciw mnie i obrócił się. – Tada!

Uniosłam brew i patrzyłam pytającym wzrokiem. Stephan załamał ręce.

– Nie widzisz różnicy? – dłońmi wskazywał na siebie.

– Brak okularów i szara apaszka? – spytałam.

– Bingo! – Stephan pstryknął palcami. – Co powiesz, żebyś tak się od dziś ubierał?

– Apaszka nie jest dla kobiet? – spojrzałam na niego z głupim wyrazem twarzy. Nie rozumiałam jego zachowania. Strój nadal był elegancki, ale... on zawsze zakładał krawaty! Nigdy aż tak z niczym nie eksperymentował, chyba że z roślinami. Stephan pokręcił głową zrezygnowany.

- Zmienię ci opatrunek - skierował się po waciki, miskę z wodą i do szafki z plastrami. - Jak kolacja?

- Dobrze. Było dość zawrotnie, ale mogę śmiało powiedzieć, że z happy endem.

- To cudownie - odwinął bandaż. - Rana goi się wyśmienicie. Jeszcze ze dwa dni pochodzisz w plastrach i będziesz smarować kortią, dobrze? - Stephan był zadowolony ze swojego małego sukcesu. Kiwnęłam głową. Mężczyzna zwilżył wacik, żeby obmyć to miejsce.

- Jeszcze dzisiaj będziesz odczuwać ból, ale...

- Stephan - przerwałam mu - ranę mam zdecydowanie wyżej, a kąpiel już brałam - spojrzałam na niego zaniepokojona.

- Oczywiście - roześmiał się speszony. - Nie śmiem twierdzić, że jesteś brudasem - puścił do mnie oczko.

- Spróbowałbyś - skupiłam się na jego apaszce.

- Dlaczego zdjąłeś okulary, skoro jesteś ślepy? - bardzo mnie to zastanawiało. Stephan westchnął. Pogładził się po łysinie.

- A, myślałem, że to właśnie my starzy nie nadążamy za modą - skrzywił się z udawanym bólem.

- Czy ty kiedykolwiek będziesz normalny? - obruszyłam się.

- Przecież ty leczysz ludzi, musisz dobrze widzieć!

Stephan przewrócił oczami.

- Poza tym... - mężczyzna skrzywił tułów, żeby sięgnąć po maść leczniczą do szuflady - nie potrzebujesz takich zmian -

dokończyłam przyciszonym głosem. Podczas skrętu apaszka nieznacznie się przemieściła i moim oczom ukazał się skrawek sinej skóry koloru dojrzałej śliwki.

– To wspaniale, że tak o mnie myślisz – uśmiechnął się szczęśliwy. Spojrzał na mnie i spoważniał. – Coś nie tak?

– Ściągaj apaszkę – rozkazałam.

– Po co? – wyraźnie się zakłopotał. – Jak chcesz taką samą, to...

– Ściągaj apaszkę – patrzyłam na niego groźnie. Zignorował moje słowa i chciał nakładać maść. Uniosłam rękę.

– No wiesz co?! – Stephan cofnął się o krok. – Starego człowieka będziesz rozbierać?! To pogwałcenie praw!

– Albo ty to zrobisz, albo ja – zapowiedziałam. Mężczyzna uległ.

– Nic się przed tobą nie ukryje – rozwiązał apaszkę zrezygnowany. Pod brodą i okolicami policzków widniała cholernie sina linia. Przeraziłam się.

– Czy ty... – zaczęłam niepewnie.

– Oszalałaś?! – Stephan wytrzeszczył oczy. – Nie jestem samobójcą!

Był zbulwersowany. Odetchnęłam z ulgą.

– Nie biłeś się – stwierdziłam. – To do ciebie niepodobne.

– No wiesz, jak trzeba się bronić... – bąknął. Zainteresowały mnie jego słowa.

– Bronić? Mów, co tu się działo.

– Oj tam – smarował ranę maścią. – Nie będę... Jak to się

u was młodych mówi? Nie będę kablem, o.

– Trochę wyżej – znów nie trafił, choć był już bardzo blisko. Na chwilę przymknął oczy sfrustrowany. Cały on. Pomimo emocji zachował opanowanie, nawet głos mu nie zadrżał.

– Proszę cię. Powiedz mi, co tu się wydarzyło – dotknęłam jego dłoni.

– Zgoda, ale wszystko pozostaje między nami – popatrzył na mnie z przejęciem. Pokiwałam głową. – Kiedy wyszłaś, po paru chwilach pojawił się Zerb. Na wstępie zażądał silnej maści na obrażenia. Dbam o wasze bezpieczeństwo i zdrowie, więc... – przełknął ślinę – więc nie mogę wam dawać leków bez uprzedniego sprawdzenia stanu waszego ciała. Spytałem go z troską, gdzie się zranił, bo może najpierw trzeba będzie to odkazić. Każde jego słowo było pełne arogancji i chamstwa. Wskazał na swój ledwo zarumieniony policzek i spytał, czy jestem taki ślepy, że nie widzę obolałego miejsca. Stwierdził, że za żadne skarby nie może się dotknąć oraz że z trudem przychodzi mu jeść. A że jest w klasie wojennej, to musi być w pełni sił. Ja jedynie rozłożyłem ręce, stokrotnie go przepraszając, że nie mogłem dać mu tej maści. Poradziłem, żeby poszedł do kuchni i poprosił o zwykły lód. Ten jednak upierał się przy swoim. Chciałem do niego podejść, żeby jednak dokładnie zbadać jego policzek. Ten zaś – wziął głęboki wdech – magicznie przyparł mnie do ściany i warczał, że chce tę maść. Przerażony kręciłem głową, że choćbym bardzo chciał, nie mam podstaw, żeby mu ją wydać. Nagle czułem, jakby coś zaciskało się wokół mojej szyi.

Gnojek stał parę kroków przede mną. Posługiwał się magią. Caroline wstawiła się za mną, ale unieruchomił ją. Normalnie, najzwyczajniej w świecie zastygła w pół kroku. Zaczęło brakować mi tchu, gdy poczułem, że ucisk zwalnia. Upadłem na kolana, dysząc i krztusząc się powietrzem. Na odchodne obraził mnie. Gdy trzasnął drzwiami, szkiełka w moich okularach pękły. Wystraszyłem się, że poranił mi oczy, na szczęście jednak na szklach powstała tylko jedna wielka pajęczyna. Caroline odzyskała sprawność.

Stephan był wyraźnie zasmucony. Zrobiło mi się go szkoda. Jak można tak traktować tego wspaniałego człowieka?! Zerb zdecydowanie przekroczył granice.

– Gdzie jest Caroline? – spytałam ciepło.

– Poszła kupić mi nowe okulary. Mam nadzieję, że znajdzie jakieś przed południem – pociągnął nosem, zaklejając plastrem rany. Stephan był bardzo wrażliwy i uczuciowy. Nigdy nie mógł znieść brutalnych sposobów nauczania i zawsze mimo wszystko stał po stronie uczniów, gdy działa im się krzywda. Dlatego zaskarbił sobie nasze serca. A teraz? To właśnie jeden z uczniów wbił mu nóż w plecy...

– Rozmawiałeś z jego Opiekunem?

– Próbowałem, ale najzwyczajniej w świecie mnie zbył. Zasugerował jeszcze, że niewystarczająco zainteresowałem się chłopcem.

– Bo rzeczywiście spotkała go tragedia – prychnęłam. – Wczoraj połowa klasy dostała po mordzie za karę. Ćwiczyliśmy w parach. Nie tylko on miał obolałą twarz.

Moje słowa jeszcze bardziej go przybiły. Zapewne do tej pory miał wyrzuty sumienia, że nie pomógł Zerbowi, a po moich słowach zrozumiał, że dałby się oszukać uczniowi.

– Postaraj się o tym nie myśleć – przytuliłam go. – Dobiorę się skurwielowi do dupy.

– Nie, błagam cię. I tak już się bardzo nie lubicie.

– To tym bardziej nie przepuszczę okazji, żeby spuścić mu łanie.

– Wyrzucą cię ze szkoły.

– Nie jestem taka głupia – tajemniczo przymrużyłam oczy.

– Po co ja ci to opowiadałem... – Stephan znów się zmartwił.

– Bardzo dobrze, że to zrobiłeś! Nie może mu to ujść na sucho, bez przesady! Musi nauczyć się kontrolować swoje napady złości.

– Dziękuję – wyszeptał. Uśmiechnęłam się. Dał mi plastry.

– Po śniadaniu, obiedzie i kolacji do soboty włącznie smaruj kortią i chroń plastrami – mrugnął do mnie z wyraźną ulgą. Podzielił się problemem. Pomogło mu to. Już miałam wychodzić, kiedy przyszło mi coś do głowy.

– Ile widzisz palców? – wystawiłam środkowy i wskazujący.  
– Tylko szczerze.

– Dwa, ale są bardzo rozmazane. Wydaje się, jakby były w tym miejscu – trafił obok nich swoją dłonią. – Jednak nie.

Pokiwałam głową. Przejechałam powoli przed oczami Stephana otwartą dłonią, skupiając całą swoją magię.

– A teraz? – spytałam z ciekawością. Stephan wytrzeszczył



oczy. Przetarł powieki.

– Ann, ty nie jesteś wiedźmą! – mówił w euforii. – Cofam to słowo! Jesteś cudowna!

Zachichotałam. Zrobiło mi się bardzo miło. Może nie jestem takim potworem?

– Nie mam mocy pełnego uzdrawiania, więc pod wieczór będziesz potrzebował okularów – ostrzegłam.

– To absolutnie nie jest problem! Do tego czasu Caroline na pewno coś znajdzie – znów był radosny. Uśmiechnęłam się i skierowałam do wyjścia.

– Ann – Stephan podszedł do mnie i przytulił delikatnie. – Dziękuję z całego serca.

Głos mu drżał. Nasz kochany staruszek się popłakał.

– Z okularów nie zrezygnuję, ale apaszka całkiem mi pasuje – zakładał ją na nowo, a ja odegrałam zażenowanie.

\* \* \*

Siedzieliśmy na ławce w ogrodzie. Patrzyliśmy na fontannę z czarnych kamiennych nimf. Woda wypływała im z ust. Nagie kobiety były naturalnie wygięte w prawą stronę, tworząc okrąg. Delikatnie muskały się palcami i patrzyły na siebie z czułością. Wyglądało to, jakby odbywały siostrzany taniec.

Cisza, spokój – idealne miejsce na relaks i odpoczynek. Ludzie spacerowali, rozmawiając skrycie bądź podziwiając nowo zakwitłe krzewy i pojedyncze kwiaty. To dla uczniów

mały raj. Ogród miał tyle zakamarków, ławek i murków, że każdy mógł znaleźć miejsce tylko dla siebie. Znajdował się w centralnej części Akademii.

– Od jakiegoś czasu te owoce smakują coraz lepiej – mówiła Diana, zajadając się sałatką owocową. To była nasza stała przekąska między śniadaniem i obiadem. W pogodne dni wydawana przy wejściach do ogrodu, a w brzydsze – na każdym piętrze, na korytarzach.

– Zgadza się – przytaknął Albert.

Wystawiłam twarz do słońca. Przymknęłam oczy, przeżuując brzoskwinie.

– I tak się nie opalisz – skomentował Gabe. – Ty wiecznie jesteś blada jak ściana.

– Phi – spojrzałam na niego z udawaną pogardą. Musiałam się lekko wychylić, bo siedział na końcu ławki, a pomiędzy nami był Albert. – Nie przeszkadza mi to wcale a wcale.

– Ty na pewno jesteś zdrowa? – dalej żartował.

– A chcesz się przekonać? – prowokowałam.

– Stawiam dwadzieścia tretii na Ann – Diana podniosła rękę z plastikowym widelczykiem. Uśmiechnęłam się triumfująco do Gabe'a. Ten zaś zmrużył powieki.

– Jak dzieci – skomentował Albert.

– Stary! Powinieneś być dać zakład na mnie, a nie być neutralnym – bulwersował się Gabe.

– Nie mów, że wyrosłeś z takich rzeczy, bo nie uwierzę – powiedziała Diana, pakując do ust spory kawałek kiwi.

– Ja w przeciwieństwie do was szybko dorosłem – Albert

udawał powagę.

– Chłopcy tak czy owak później dojrzewają, więc wciąż jesteś w tyle – odgryzłam się.

– Jeszcze słowo, a nie zjem twojego kiwi – zagroził.

– A ja twojego winogrona – nie ustąpiłam.

– Remis! – skwitowała Diana.

Zawsze wyjadaliśmy sobie te owoce, bo je uwielbialiśmy, a te, które zostawialiśmy dla drugiego, nam zupełnie nie smakowały. Rozglądałam się. Szukałam wzrokiem Faba. Nie było go na zajęciach. Zastanawiałam się, co się z nim dzieło.

– Co jest? – spytał po chwili Albert.

– Nie, nic – otrząsnęłam się.

– Myślisz o Fabie? – spytała Diana. Kiwnęłam głową.

– Nic mu nie jest. Leży w łóżku, popija ciepły rosółek – poinformował nas Albert. – Odwiedziłem go. Nawet siniaków bardzo nie widać.

– Nie to, co u Felixa – zaśmiał się Gabe. – Sam bym mu z chęcią obił mordę.

– Zachowuj się przy damach – zwrócił mu uwagę Albert, a my zachichotałyśmy.

– Od kiedy jesteś takim dżentelmenem? – zdziwił się Gabe. Chłopak lekko się zarumienił. Kiedy wymagała tego sytuacja, starał się być człowiekiem kulturalnym i opanowanym. Lubiłam to w nim. Każdy z nas doświadczył już za dużo chamstwa.

– Rozmowa nie byłaby lepsza? – wtrąciła cichutko Diana. Ona nigdy nie była za przemocą. Jak trudno musiało jej się

żyć w tej szkole, w dodatku w klasie pełnej bójek? „Co cię tu sprowadziło?”. Kiedyś tłumaczyła, że jej tata zaraził ją wojenną pasją. Widziałam ją przez pierwsze dwa lata... Później zniknęła.

– Nie zawsze – mruknął Gabe. – Do tego dochodzą emocje... Musisz gdzieś znaleźć ujście.

– To wtedy krzyczysz – nie poddawała się Diana. Gabe się uśmiechnął.

– Wy, kobiety, z natury jesteście delikatniejsze. My, faceci, za słowa często uważamy pięści. One zwykle bardziej przemawiają, są skuteczniejsze – mrugnął do Diany.

– My na przykład pogodziłyśmy się nie za pomocą pięści – postanowiłam poprzeć przyjaciółkę, która na moje słowa wyraźnie się ożywiła.

– No i? – Gabe nie zrozumiał.

– Słowa są równie skuteczne. Sztuką jest nimi doskonale operować – powiedział melancholijnie Albert, patrząc mi w oczy.

\* \* \*

– Spierdalaj – tak nas powitał Zerb.

– Grzeczniej – warknęłam.

– O co wam chodzi? – zapytał Cler. – Z drogi!

Zablokowałam wyjście z szatni własnym ciałem. Patrzyłam na nich groźnie.

– Nie masz nic do powiedzenia? – Diana była nad wyraz

pewna siebie i gotowa do działania.

– Moja cierpliwość sięga zenitu – Zerb zaczynał się denerwować.

– Masz ją w ogóle? – prowokowała dziewczyna. Byłam z niej zadowolona.

– Zamknij mordę! – dojrzałam niebezpieczny błysk w oku oskarżonego.

– Wyluzuj, stary – próbował uspokoić go Cler. – O co tyle nerwów? – zwrócił się do nas.

– Stephan, pęknięte okulary – wymieniałam – śmiertelna rana na policzku – wyraźnie to zaakcentowałam. Zerb zmieszał się.

Cler nie wiedział, o czym mowa. Patrzył tylko na nas głupkowato. – Ups. Nic mu nie powiedziałaś? – Diana zagrała niewiniątko.

– Gościu, to jest chore. Co się dzieje?! – Cler mocno się oburzył.

– Zostawiamy to wam. Ale – zbliżyłam się do Zerba – tak jak wy kiedyś za pomocą bambusowych pałek uczyliście nas cierpliwości w znoszeniu bólu, tak, kochany Zergie, my nauczymy ciebie tego samego – patrzyłam mu prosto w oczy.

– Może więcej nie zaatakujesz niewinnego człowieka – dokończyła Diana. Zadowolone z siebie wyszłyśmy na tor ćwiczeniowy. Słyszałyśmy jedynie podniesione głosy chłopców.

– Brawo, skarbie – pochwaliłam Dianę.

– Dzięki – przytuliła się do mnie. – To teraz pełna

gotowość i otwarty umysł.

- Tak, musimy coś wymyślić.
- Byłoby idealnie, gdybyśmy w coś zagrali – medytowała.
- Wczoraj mieliśmy niezły wycisk, więc może Stars już wyładował swoją złość. Chociaż u niego nigdy nic nie wiadomo.

\* \* \*

Stars wyglądał na zmęczonego i wykończonego psychicznie.

- Jebane pierwszaki – sapnął po sprawdzeniu obecności. Dziwiło mnie jego zachowanie. Przecież miał tylko jedną pierwszą klasę o tym samym profilu. Do reszty, jak stwierdził Bill, po prostu się nie nadawał. Był zbyt ostry i wymagający. Uczniowie ostro się buntowali i mieli rację. Nie po to ktoś zapisywał się do klasy artystycznej, żeby wylewać litry potu i nie mieć siły na machanie pędzlem. My to co innego. Jego pierwsza klasa była wytrenowana jak szczeniaczki. Nie mieli odwagi pisnąć. My, czwartoklasiści, byliśmy już nieco odważniejsi. Jednak nadal czuliśmy niepewność, nie wiedzieliśmy, na ile możemy sobie pozwolić. Stars był bardzo rozchwiany emocjonalnie.

- Pół godziny rozgrzewki. Jazda! – rozkazał. Nie prowadził rozgrzewki? Co z nim nie tak? Starzał się? Wszyscy ćwiczyliśmy wolno i niedokładnie. Robiąc niepełne skręty, spoglądałam na Starsa. Siedział na ławce obok butelek z wodą. Patrzył w ziemię.

- Co mu jest? - spytała cicho Diana.

- Dawno go takiego nie widziałem - skomentował Mino. - We wrześniu chyba, jak trenował nową pierwszą klasę.

- No właśnie - przytaknęła Diana. Dziewczyna rozciągała nogi na stojąco. W pewnym momencie lekko się zachwiała.

Zamachnęła ręką, którą złapał Mino. Podtrzymał ją ostrożnie.

- Dzięki - uśmiechnęła się nieśmiało Diana.

- Nie ma za co - nadal trzymali się za ręce. Wyglądali uroczo. Mino pasował do Diany pod względem wyglądu. Był ze dwa centymetry wyższy od niej. Smukły, dobrze zbudowany. Miał okrągłą twarz, zgrabny nos, pudroworóżowe usta, ciemnozielone oczy i wiecznie rozwichrzone, kruczoczarne włosy. Pod względem charakteru również dobrze się zgrali. Diana była delikatna i wrażliwa, a Mino - męski, zdecydowany, ale też uczuciowy. Bardzo chciałam, żeby byli razem. To dodałoby przyjaciółce energii i bardzo by ją uszczęśliwiło. Wiedziałam, że wpadł jej w oko, bo nie było dnia, żeby o nim nie wspomniała. Starła się oczywiście patrzeć na niego trzeźwo i dostrzegać również jego wady, ale nie bardzo jej to wychodziło.

- No, dzieciaczki, spinamy dupcię - podszedł do nas Albert.

- Brzuszek były?

- Ze Starsem na role się pozamieniałeś? - zadrwił Gabe.

- Ciszej! - powiedziałam rozbawiona.

- Módl się, żeby tak się nie stało - Albert dał kuksańca Ga-

be'owi. – Byłbym jeszcze bardziej wymagający.

– To tak się jeszcze da? – spytał Mino, robiąc przysiady.

– Nie mam pojęcia – Albert zajął się rozciąganiem ramion.

– Ann, co ty na to, żebym to na tobie trochę poeksperymentował, czy nadaję się na surowego trenera?

– Dlaczego na mnie? – oburzyłam się.

– Jak cię wpienię, to mam pewność, że mi nie przyłożysz – uśmiechnął się do mnie życzliwie.

– No i w razie jakichś trudnych ćwiczeń, przez przypadek oczywiście, można się poprzytulać, podotykać – śmiał się Gabe. Mino i Diana zachichotali. Albert przyłożył z pięści Gabe'owi w ramię, a ja się speszyłam. Moim zdaniem syn Senatora był niczego sobie. Sięgałam mu do brody. Miał cudne ciało. Silne ręce, pociągłą, delikatnie kwadratową twarz, czarne, krótko ścięte włosy, pociągające usta, zabójczy uśmiech, szaroniebieskie oczy i bystre spojrzenie. Nasza znajomość rozwinęła się po mojej ostatniej karze, gdy pomógł mi zaprowadzić Dianę do Stephana. Nie mogłam go nazwać przyjacielem, bo jeszcze wiele o mnie nie wiedział, a ja o nim.

– Stars miał dzisiaj sporo zastępstw za profesora Xena właśnie w pierwszych klasach. Pewnie dobiło go rozpasanie uczniów i chaos. Zapewne też nawymyślał im skomplikowanych ćwiczeń, a oni nadają się tylko na pajacyki. Pod względem fizycznym nie dorównują tym z wojennej klasy – poinformował nas Albert.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zdziwił się Gabe. –



Założyłeś w szkole podsłuch?

– Znajomości, stary – przymrużył oczy Albert.

– Kluchy, do mnie! – krzyknął Stars. Idąc, spiorunowałam wzrokiem Zerba. „Już ty zapamiętasz każdą lekcję wychowania fizycznego, do momentu, aż nie przeprosisz Stephana, deklu”.

– Nie mam sił wymyślać wam jakichś torów przeszkód, listy ćwiczeń – zakomunikował Stars. – Pogracie sobie.

Spojrzałyśmy na siebie z Dianą z zadowoleniem. Los nam sprzyjał!

– Siatkówka? – zaproponowałam.

– Jakiś sprzeciw? – Stars na nas popatrzył. – Nie? Felix, piłka w magazynie.

Felix pobiegł po piłkę. Stars rozkładał siatkę.

– Dobierzcie się w zespoły pięcioosobowe. Felix będzie sędzią – powiedział Stars. – Albert i Evel na kapitanów. Ruchy!

Drużyna Albert, Mino, ja, Steve, Gabe przeciwko drużynie Evel, Cler, Zerb, Walt, Diana. Skąd moja przyjaciółka w przeciwnej drużynie? Raz, że taka była nasza cicha strategia, dwa – Evel uznał z przekąsem, że to tylko wzmocni nasze więzi. Jakby mu rzeczywiście na tym zależało... Z pewnością chciał znów nas skłócić przez rywalizację. Niestety – dla niego – na nas to kompletnie nie działało. Obie byłyśmy świetne w czymś innym. Nie powodowało to napięć, a wręcz przeciwnie – dopingowałyśmy się i wspierałyśmy wzajemnie.

Plan wyszedł bardzo spontanicznie. Byłyśmy tak

przepełnione chęcią zemsty za Stephana, że pomysły same przychodziły nam do głowy. Natychmiast zgłosiłam się na atak, Diana zaś na tylną linię. Po skosie miała Zerba, który został środkowym. Ja miałam łatwiej, bo gdybym nawet nie była na ataku, mogłabym celować piłką w Zerba. Trochę ukrytej magii, bo na zajęciach Stars bardzo surowo karał za jej używanie, i lekka, skórzana kulka stanie się przy odbiorze niczym wykonana z cementu. Oj, zabolą go łapki! Zastanawiałam się, co wymyśliła Diana.

Felix zdecydował, że oczywiście mecz rozpocznie drużyna Evela. Jakżeby inaczej? Na początku graliśmy niewinnie. Lekkie odbicia, mało ruchu. Gdy usłyszeliśmy gong oznajmiający początek kolejnej lekcji, gra się ożywiła. Serwy były mocniejsze, a podania precyzyjniejsze. Stars prawie nie zwracał na nas uwagi. Najwidoczniej się starzał, skoro grupy kilkunastu młodzików, w dodatku nie jego uczniów, tak go wykańczały. Powinien ich olać, nie on odpowiadał za ich kondycję fizyczną.

Albert idealnie podał mi piłkę. Z impetem w nią uderzyłam, a za pomocą magii nadałam jej ogromny ciężar oraz kierunek wprost pod nogi Zerba. Pewny wspaniałego odbicia, ułożył dłonie do odbioru dolnego. Czekająca na niego niespodzianka. Piłka nieznacznie się odbiła od jego rąk i poleciała w bok boiska. Zerb za to upadł boleśnie na tyłek. Pocierał nadgarstki.

– Ann! Celuj łaskawie w ziemię, nie kolegów – Stars starał się przekrzyczeć radość naszej drużyny z decydującego punktu.

Jedenzero.

– Nie moja wina, że odważył się wyciągnąć łapy! – odkrzyknęłam. – Poza tym gdy uderzam, nie do końca wiem, gdzie celuję! – uśmiechnęłam się niewinnie. Stars mlasnął i już nam nie przeszkadzał.

Gdy zmienialiśmy pola, zmierzyłam się wzrokiem z Zerbem. „Gra się dopiero zaczęła. Powodzenia”. Co czwarte, piąte uderzenie w różne części boiska, używałam po kryjomu magii, żeby nadać idealny kierunek piłce. Oczywiście celowałam w Zerba.

Zrezygnowałam z ciężaru, bo jeszcze bym mu połamała rękę i miałabym przejebane. Aż tak ryzykować nie chciałam. Ten i tak ledwo odbijał szybki atak. Dłonie z pewnością go już piekły, a dzięki świetnym zagrywkom Diany nie dość, że trafił na ostatnią linię, to jeszcze cała drużyna była na niego wściekła. Przyjaciółka przyjęła strategię przeszkadzania. Jednak żeby to nie ona obrywała, starała się odbijać swoje piłki najlepiej, jak umiała. Pewnie tak jak ja używała po kryjomu do tego magii. Ale, jak wiadomo, podczas gry nikt nie stoi sztywno na swoim miejscu. Przemieszczamy się po boisku czasem wolno, czasem z prędkością światła, żeby tylko piłka nie dotknęła ziemi w polu. Na początku chłopcy dziwili się, dlaczego Diana była blisko Zerba przy jego odbiciu. Często wchodziła mu się w paradę i niespodziewanie spychała go barkiem, przejmując piłkę.

– Mam mu pozwolić na przegraną? – tłumaczyła się niewinnie.

– Zerb potrafi grać. Stój, gdzie stoisz! – warczał Cler.

Diana uniosła ręce w geście poddania się. Następne jego odbicia znowu były nieudolne. Nie dlatego, że pomagała w tym magia – akurat wtedy do piłki dorwali się moi chłopcy. Zerb po prostu uwierzył, że miał dzisiaj pecha. Chyba że maczała w tym palce Diana, bo zagadkowo się do mnie uśmiechała.

– Kurwa, Zerb! Co ty dzisiaj odpierdalasz? – warczał na niego Evel. Cler również patrzył na chłopaka wrogo. Czyżby już się dowiedział o dziecinnyim zachowaniu przyjaciela i skrzywdzeniu drogiego dla każdego ucznia człowieka?

– Nadal mam się nie ruszać? – spytała obojętnie Diana. Cler zmierzył ją wzrokiem.

– Rób, co chcesz! – rzucił. Zadowolona Diana kontynuowała swoją misję.

\* \* \*

– Zbiórka! – wrzeszczał Stars. Trzy jeden dla drużyny Alberta!

– Naszą ciężką pracę opijamy dzisiaj soczkiem, dzieciaczki – zakomunikował Albert.

– Soczkiem? – grymasił Gabe.

– Coś nie pasi? – zagroził Albert.

– Poczekaj, aż wrócimy do pokoju – mrugnął do niego.

– My swój sukces też musimy jakoś uczcić – mruknęłam do Diany i obie zachichotałyśmy. Weszłyśmy do damskiej szatni. Zdążyłyśmy zdjąć czarne spodenki, gdy usłyszałyśmy dźwięk

otwierania głównych drzwi. Szatnia składała się z dwóch pomieszczeń i oddzielnej toalety. Przechodziło się przez pierwsze, gdzie były umywalki, lustra, szafki z ławkami, następnie skręcało się w prawo pod ogromnymi, mętными oknami, znów w prawo i można było zobaczyć po jednej stronie prysznic, po drugiej – szafki z ławkami, a naprzeciwko toaletę.

Wychyliłam się z za granatowych, metalowych szafek. Zobaczyłam zbliżającego się w furii Zerba.

– Pojebało cię?! – wrzasnęłam, a Diana się wystraszyła. – Wynocha stąd!

Zerb w ogóle nie zważał na moje słowa. Pewnym krokiem stanął obok nas. Diana w popłochu siadła na drewnianej, lakierowanej ławeczce i okryła nagie nogi szkolną koszulą. Ja starałam się tylko naciągnąć białą bluzkę najbardziej, jak się dało. – Zboczeniec... – skomentowała zawstydzona Diana.

– Jesteście z siebie zadowolone? – warczał, patrząc to na mnie, to na moją przyjaciółkę. Uniósł rękę. Zobaczyłyśmy brunatne wręcz dłonie i spuchnięte nadgarstki. – O innych częściach ciała nie wspomnę – dodał. Cały płonął gniewem. W każdej chwili mogło dojść do rękoczynów.

– Ostrzegłyśmy cię – powiedziałam stanowczo.

Diana wyraźnie się wycofała. Wolała zostać obserwatorem.

– Używałyście magii! – krzyknął.

– Udowodnisz? – prychnęłam.

– Nie prowokuj mnie – uniósł pięść.

– Bo co, psycholu? – nie poddałam się. – Stephan ma zbyt

dobre serce, żeby wymierzać surowo sprawiedliwość. Chyba lepiej się stało – przybliżyłam się do niego.

– Ann... – szepnęła Diana, obawiając się, że Zerb mógłby mnie skrzywdzić.

– Lepiej, że oberwałeś fizycznie – kontynuowałam – niż gdybyś został potępiony społecznie. Zdajesz sobie sprawę, jak poważany jest Stephan? Inni nie pieściliby się z tobą i spuścili ci taki wpierdol, że leżałbyś w łóżku przez tydzień.

Zerb się zaśmiał.

– Czyli mam rozumieć, że to była wręcz przysługa z waszej strony? – zadrwił. Niczego się debil nie nauczył. Nagle poczułam niebezpieczny przyływ magii. Zerb chciał mnie zaatakować. Ubiegłam go w porę. Wystraszony złapał się za szyję. Świszczał przy wdychaniu i wydychaniu powietrza.

– Nie próbuj ze mną takich sztuczek – ostrzegłam groźnie.

– Błagam cię, nie zabij go – szeptała Diana.

Zerb padł na kolana.

– Wiesz teraz, jak czuł się Stephan?! – krzyknęłam i oparłam ręce na biodrach. – Powinnam ci wydłubać oczy! Mogłeś zrobić z niego kalekę! – byłam na niego wściekła.

Zerb wciąż świszczał. W przeciwieństwie do niego ja w przyływie jakichkolwiek emocji potrafiłam panować nad ilością używanej magii. Dlatego jedynie go podduszałam, wiedziałam, że na jego szyi nie powstanie sina pręga.

– Ogarnij się, człowieku, i panuj nad agresją – uwolniłam go z uścisku.

– I nie podglądaj dziewczyn, jak się przebierają – dodała

zniesmaczona Diana.

Chłopak podniósł się, wyrównując oddech. W jego oczach pojawiły się łzy. Ruszył w stronę wyjścia.

– Przeproś Stephana i Caroline! – dodałam na odchodne.

– Myślisz, że czegoś się nauczył? – spytałam Dianę, zakładając podkolanówki.

– Wystraszył się, to na pewno – odpowiedziała, zapinając koszulę.

\* \* \*

W czwartki obie z Dianą miałyśmy dodatkową lekcję – gotowanie. Trwało to zazwyczaj godzinę. Wszystko, co ugotowałyśmy, było dla nas, więc już nie szłyśmy na obiad, chyba że uczyłyśmy się przyrządzania przekąsek. Wtedy porcje były zdecydowanie za małe i nie tak sycące. Na te zajęcia przychodziły tylko dziewczyny z czwartych klas, żeby nie było zbyt tłoczno. Chciałam się nauczyć gotować, bo myślałam o przyszłości. Gdy na froncie będą ciężkie warunki, przygotuję coś smacznego i będę użyteczna. Diana też myślała o nadchodzących latach, ale w innej perspektywie. Pragnęła założyć rodzinę i marzyła o tym, że mąż będzie chwalił jej obiady. Chciałam, żeby to się spełniło, bo z całą pewnością czekało nas, absolwentów profilu wojennego, wezwanie do armii. Niewiele w niej było kobiet. Do tego traktowano je jak podgatunek, nie poważano ich. A nawet jeśli jakaś kobieta zyskała szacunek innych, to musiała

dokonać czegoś spektakularnego. Dlatego tak mało dziewczyn wybierało ten profil. Wcale się nie dziwiłam. Sama bym poszła na inny – myślałam o zielarstwie. Ale znowu tam zajęcia z magii były związane tylko z roślinami. Osobiście czułam, że dar zostałby przeze mnie zmarnowany.

Nie każdy był obdarzony darem władania magią. Z tym trzeba było się urodzić. Skąd wiadomo, że dziecko jest pobłogosławione? Jako niemowlę miało błyszczące i błękitne oczy. Gdy się w nie patrzyło, można było odnieść wrażenie, jakby stale płynęła w nich woda. Niesamowity widok. Każdy miał też inne umiejętności – te przydatne do walki, uleczenia oraz związane z zielarstwem i eliksirami. Ci, co dobrze śpiewali, malowali, pracowali w rzemiośle, handlu, kuchni i tak dalej, po prostu mieli talent. To nie było związane z magią.

Gotowałyśmy z Dianą gulasz. Każda mogła przyprawić go według własnego smaku.

– Trochę za mdły – oceniłam, gdy go posmakowałam.

– Mój też – odpowiedziała Diana.

Popatrzyłam na słoiczek z pieprzem.

– Kurczę, nie chcę, żeby smakował tak banalnie – odezwałam się.

– Wiesz, że ja tak samo? – ucieszyła się Diana. Uradowane naszą zgodnością, eksperymentowałyśmy z przyprawami. Gulasze wyszły oryginalne, ale przepyszne. Dodałyśmy tyle różnych ziół, że na pytanie nauczycielki, czego tam nawrzucałyśmy, nie byłyśmy w stanie odpowiedzieć.



– Prawdziwe artystki – skomentowała. – Gdyby ten przedmiot był na oceny, dzisiaj zgarnęłybyście po piątce!

Nałożyłyśmy sobie potrawę do misek i usiadłyśmy przy szarym, plastikowym stole.

– Z gotowania pięć, ale z bycia człowiekiem załapałabyś kosę – dosiadła się Rose.

– Do kogo to było? – spytała zaskoczona Diana.

Rose złośliwie się do mnie uśmiechnęła.

– Mów wprost, a nie pieprzysz bez sensu – patrzyłam na nią obojętnie.

– Wielki zwolnił mnie aż z trzech lekcji, żebym mu umiliła czas, grając na pianinie ulubione melodie – kręciła palcem loczka. – Z tego, co wiem, to ostatnim jego gościem byłaś właśnie ty. Czym go tak zasmuciłaś?

– Naprawdę cię to interesuje? – spytałam rozbawiona.

– Oczywiście. Jest moim największym mentorem i gdy jego serce cierpi, moje również umiera z bólu – mówiła bardzo poważnie. Prychnęłam. – Ann, ty szczególnie powinnaś znać to uczucie. W końcu jest dla ciebie jak ojciec – Rose była zszokowana.

– Ale ja nie powiedziałam, że Mistrz jest mi obojętny – spojrzałam na nią groźnie.

Jej słowa dały mi do myślenia. Czy Verton rzeczywiście był taki pokrzywdzony i czy przejął się aż tak wczorajszymi zdarzeniami? Jeśli była to prawda, to miałam potwierdzenie, że jego słowa i obietnice były poważne. I tak musiałam go jakoś odwiedzić, bo nie dogadaliśmy się w końcu co do

jutrzejszego dnia.

– Ann – podeszła do mnie Bethy, kucharka. – Dostałam wiadomość od Billa, że Wielki Mistrz chce cię widzieć dzisiejszego wieczoru. Wspomniał coś o krótkiej rozmowie.

– Jasne, dzięki – uśmiechnęłam się do niej.

– Chyba... – patrzyłam na Rose. – Chyba nie jest tak tragicznie, skoro chce się ze mną spotkać.

Diana cicho się zaśmiała. Rose była wyraźnie niezadowolona z obrotu sprawy, zajęła się jedzeniem gulaszu.

\* \* \*

– Wejść – usłyszałam stanowczy głos Faba.

Postanowiłam go odwiedzić i sama sprawdzić, jak się czuł.

– Ach, to ty! – Fab ułożył się na łóżku w pozycji półleżącej. Wyglądał mizernie. Jego ciało osłabło, skóra stała się bledsza, miał sińce pod oczami. Do niego należała lewa strona pokoju, ta pod oknem.

– Siadaj – wskazał na skraj łóżka.

– Jak się czujesz? – zaczęłam.

– Zdecydowanie lepiej niż wczoraj – delikatnie się uśmiechnął. – Kiedy coś jem, boli mnie brzuch, ale Caroline mówi, że już jutro będzie lepiej.

– Co dokładnie ci się stało?

– Felix jeszcze się nie pochwalił? – Fab był zdziwiony.

- Nic mi o tym nie wiadomo - byłam bardzo ciekawa.
- Zatrujęm się zapleśniałym chlebem - powiedział, patrząc w kołdrę.
- Jakim cudem? - spytałam zszokowana. Fab westchnął.
- Stało się i już. Ważne, że w poniedziałek wracam do gry - pokiwał głową.
- Wiem, że nie jesteśmy jeszcze na takim etapie znajomości, żebyś wszystko mi mówił, ale...
- Nie mam o czym ci opowiedzieć - patrzył na mnie spokojnie.
- Jasne - uśmiechnęłam się. Trochę mnie to uraziło. Rozmawialiśmy już tyle razy. Zdarzało się nawet, że od serca. Nie ufał mi. Od razu przemknęło mi przez myśl, że jednym z powodów było to, że byłam wychowanicą Mistrza. Jeśli zrobił coś złego, bał się, że w poczuciu obowiązku pójdę do Vertona i wszystko mu wyśpiewam. Tak, zdecydowanie byliśmy jedynie znajomymi... Ktoś zapukał do drzwi. Fab spojrzął na zegarek.
- Wejść - miał tak samo stanowczy głos, jak wcześniej. W pokoju pojawiła się służąca. Niosła tackę z miską.
- Rosół, panie Fab - szepnęła cichutko dziewczyna ze zwieszoną głową. Pomimo że mnóstwo służek było tylko o dwa, trzy lata starsze od nas (zarabiały na chleb dla swoich ubogich rodzin), to traktowały nas jak szlachciców lub osoby dużo od nich starsze. Dla mnie było to niekomfortowe, ale już inni nic sobie z tego nie robili.
- Służąca postawiła tackę przed półleżącym Fabem i wyszła.

- To ja już pójdę – stwierdziłam – Zdrowiej.

Zauważyłam, że Fabowi trudno było utrzymać stabilnie łyżkę. Musiał być naprawdę wycieńczony. Zatrzymałam się przed drzwiami.

- Pomóc ci? – spytałam.

Popatrzył na mnie skonsternowany.

- Mogę cię... – chrząknęłam – nakarmić.

Fab jeszcze bardziej się zmieszał.

- Żartujesz.

Pokręciłam głową.

- I tak nikt nie wejdzie, bo wszyscy są na obiedzie.

- A ty?

- Ja już jadłam.

Chwilę na mnie patrzył.

- No dobra – wymamrotał.

Dzięki mnie zjadł całą zupę bez wylewania połowy na siebie.

- Felix mnie w to wrobił – wydukał, kiedy chciałam odstawić miskę na nocny stolik.

- To znaczy?

- Zacznę od początku – nabrał powietrza. – Kilka dni temu zaczęliśmy wspominać naszą burzliwą przeszłość, która teraz jest nieważna – zrozumiałam, że miałam o nią nie wypytywać. – Oczywiście, jak zawsze, pokłóciliśmy się. Na drugi dzień chciałem iść na śniadanie, ale nie mogłem znaleźć swojej karty. Przeszukałem swoją połowę pokoju

i nic. Posłużyłem się magią i też nic, jakby wyparowała. Kiedy spytałem o nią Felixa, zaśmiał się tylko idiotycznie. Już wiedziałem, że maczał w tym palce. Przez te kilka ostatnich dni żyłem jedynie na owocowych przekąskach.

– Dlaczego nie zgłosiłeś zaginięcia karty? – byłem zszokowana.

– Felix nie jest taki durny. Od razu by ją podrzucił na miejsce – Fab był wyraźnie smutny.

– A co z tym chlebem?

– Zauważyłem go wczoraj na moim biurku. Byłem już bardzo słaby i zawitałem do pokoju między zajęciami, żeby na chwilę się położyć. Głód bardzo mi doskwierał. Nie pomyślałem nawet, że to pułapka.

– Magicznie zakrył pleśń?

Pokiwał głową.

– Wow, nie myślałam, że jest taki bezduszny – współczułam Fabowi.

– Ludzie swoją prawdziwą twarz skrywają pod licznymi maskami. Istnieje małe prawdopodobieństwo, że poznasz naprawdę chociaż jednego człowieka.

– Przykra prawda – skomentowałam. Każdy z nas miał na swoim koncie mroczne przeżycia. Tylko od nas zależało, jak je wykorzystamy.

\* \* \*

Czekałam na Dianę na korytarzu. Razem miałyśmy iść na

kolację. Po chwili zauważyłam zbliżającego się Zerba. Jego dłonie świeciły się – zapewne od maści witaminowej. Kiedy mnie zobaczył, uciekł wzrokiem, ale zatrzymał się, gdy był już blisko.

– Możecie sobie darować zabawę w obrończynie sprawiedliwości – powiedział.

Patrzyłam na niego obojętnie.

– Przeprosiłem Stephana – spojrzał mi w oczy.

Czułam, że mówił prawdę. Czyli nie był taki tępy, jak myślałam.

– To bardzo dobrze – odpowiedziałam.

Już chciał iść dalej, gdy odwrócił się do mnie z dziwnym błyskiem w oku.

– Ładne różowe majteczki. Z koronką? – zaśmiał się złośliwie i poszedł.

– Świnia – skomentowałam osłupiała.

\* \* \*

Zastukałam we framugę drzwi od gabinetu Wielkiego.

– Proszę – powiedział stanowczo.

Pomieszczenie o dziwo było dość niewielkie. W centralnej części znajdował się niski stolik, wokół którego ustawiono czarne skórzane sofy. Po prawej stronie było mnóstwo szafek i półek, a na nich książki, teczki i dokumenty. Po lewej taka sama oszklona ściana jak w jadalni, tyle że bez wyjścia na balkon. Za sofami stało potężne, drewniane, ciemne biurko,

na nim czyste kartki, kilka piór do pisania, atrament, trochę teczek i świecznik z dziesięcioma ogryzkami świec.

Wielki siedział na wygodnym krześle, obitym puchowymi poduszkami oraz ciemnobrązową skórą. Przeglądał jakieś papiery.

– Wzywałś mnie – zaczęłam nieśmiało.

Trochę się obawiałam jego nastroju. Wczoraj co prawda pożegnaliśmy się w dość smutnej atmosferze, ale na pewno nie wrogiej. Rose trochę namieszała mi w głowie.

– Tak, tak... – mruzczał, stale patrząc w jedną z kartek. Nagle ściągnął brwi i cichutko syknął.

– Coś nie tak? – zaniepokoiłam się.

– Powiedzmy – odłożył kartkę. – Usiądź – jego twarz złagodniała. Usadowiliśmy się na sofie.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

– Nie, dziękuję – czułam się spięta. Znow nie mogłam wyczuć jego humoru.

Nagle zjawił się służący, starszy człowiek.

– To, co zawsze – rozkazał Verton.

Staruszek uklonił się, nie mówiąc nic, i wyszedł. Mistrz wezwał go za pomocą magii mentalnej, czyli bez użycia rąk. To samo zrobił Zerb Stephanowi.

– Co do jutra – westchnął i przetarł oczy. – Bądź o ósmej rano pod wschodnią bramą. Pójdziemy w stronę polany. Chcę sprawdzić część twoich umiejętności magicznych – jego głos był obojętny, pozbawiony jakichkolwiek emocji.

– Jasne – przytaknęłam.

Wstał i wrócił do biurka. Poczułam ukłucie w sercu. To musiało być wszystko. Rzeczywiście krótka rozmowa, a raczej komunikat. Verton wziął do ręki jeden z papierów i znów zagłębił się w zawartą tam treść. Nie wiedziałam, czy mam iść, czy zostać. Chyba wyczuł moje zakłopotanie. Spojrzał na mnie znad kartki.

– Nic więcej już od ciebie nie chcę. Możesz wracać do pokoju.

Zrobiło mi się przykro. Wstałam, ukloniłam się i zaczęłam zmierzać w stronę wyjścia.

– Ach, moment! – lekko podniósł głos. – Kucharka przygotowuje nam posiłek w koszyku na jutro, więc nie zapomnij go zabrać po śniadaniu.

Kiwnęłam obojętnie głową. W drzwiach minęłam się ze służącym, niosącym do połowy pełny kieliszek czerwonego wina. „Verton, dlaczego jesteś tak skomplikowanym człowiekiem?! Czy chociaż ty za sobą nadążasz?”.

\* \* \*

– Będę dzisiaj zdana na Felixa na zajęciach fizycznych – Diana ze smutkiem jadła omlet na słodko z owocami.

– Przykro mi, kochana – pogładziłam ją po ramieniu. – Wynagrodzę ci to.

– Pójdziemy jutro nad rzeczkę? – rozchmurzyła się.

– Jasne.

– A zabierzemy jeszcze kogoś? – spytała nieśmiało.



Wiedziałam, kogo ma na myśli.

– Jeśli Mino będzie tylko chciał – roześmiałam się. Diana się zarumieniła.

– Myślałam też o Albercie i Gabie – dodała, pałaszując omlet.

– Kochana, nie wiedziałam, że ty tak przebierasz w chłopakach! – udałam zdziwienie.

– Weź przestań! – dźgnęła mnie łokciem w ramię. Roześmiałyśmy się.

– Zajmiesz się tym? – spytałam.

– Tak, tak. Ty skup się na spotkaniu – mrugnęła do mnie.

Kochana Diana. Zawsze pomocna. Lubiłam z nią planować różne rzeczy, bo szło nam to bardzo sprawnie.

W pewnym momencie zauważyłam, że do jadalni wszedł Felix. Przypomniała mi się rozmowa z Fabem. „Będziesz miał za swoje”. Poszedł po omlet i usiadł z przyjaciółmi. Obserwowałam go uważnie. Już miał brać kęs, gdy nagle cofnął rękę z widelcem. Coś pokazywał kolegom. Dość żywo o czymś dyskutowali. Felix rozejrzał się gorączkowo po sali. Po kilku chwilach odniósł talerz z poszarpanym omletem. Kobieta pracująca przy zmywaniu naczyń była w szoku, że nie zjadł śniadania. Długo jej się tłumaczył.

Z Dianą spokojnie dokończyłyśmy posiłek.

– Ja muszę jeszcze pójść do kuchni po koszyk – powiedziałam, gdy minęłyśmy drzwi do jadalni.

– Yhm – mruknęła. – To widzimy się na obiedzie?

– Tak – przytuliłyśmy się na pożegnanie.

Gdy Diana zniknęła mi z pola widzenia, zakradłam się blisko lewego skrzydła drzwi. Po chwili wyszedł z jadalni Felix.

– Smaczne było? – zagadnęłam.

Felix momentalnie się odwrócił.

– Nie wiem, o czym mówisz – starał się zachować obojętność.

– Oj, chyba wiesz – uśmiechałam się do niego ironicznie. – Omlet wyglądał naprawdę smakowicie, aż ślinka ciekła, a ty oddałeś w ogóle nietknięty.

– To byłaś ty – warknął.

– Mówiłam, że wiesz, o co chodzi – podeszłam do niego. – Nagle nadziane kawałki stawały się zepsute, pełne pleśni, mogły zdarzyć się nawet robaczki. W smaku z pewnością okropne, kwaśne. Pochorowałbyś się od razu.

– Co to miało być? Po co się wpierdalasz w nie swoje sprawy? – Felix kipiał ze złości.

– Ale ogarnij nerwy. Tak się składa, że koleguję się z Fabem i trzymam jego stronę.

– Znając całą prawdę? – uniósł brew.

– Prawdę na temat karty – sprostowałam. Wiedziałam, że Fab nie mówił mi wszystkiego, ale to do szczęścia nie było mi potrzebne.

– Ha, poskarżyła się niunia? – drwił Felix.

– Nie, wynikało to z rozmowy. Nie poznałam jeszcze takiej bestii jak ty. Żeby głodzić kolegę?! Czy ty chcesz go zabić?!

– Dlatego ci mówiłem, żebyś nie wścibiała nosa w nieswoje

sprawy. Mam swoje powody, z których nie zamierzam ci się tłumaczyć.

- A ja wcale tego nie wymagam. Chcę jednak lojalnie uprzedzić, że do momentu, aż nie oddasz karty Fabowi, każde twoje danie przy zbliżeniu do ust będzie zamieniało się w zgniliznę. Dodam, że tego zaklęcia tak łatwo nie zdejmiesz - powolutku go omijałam. - Chyba twoi koledzy już tego próbowali. I nie wyszło, prawda? - uśmiechnęłam się złośliwie i poszłam do kuchni.

\* \* \*

Szłam w stronę wschodniej bramy. Miałam mieszane uczucia. Z jednej strony przepełniała mnie radość, bo pierwszy raz nie musiałam iść na zajęcia jak wszyscy, a ponadto miałam spędzić ten dzień poza murami Akademii, choć okoliczne lasy, polana, rzeczka i jezioro należały do szkoły i zamku. Z drugiej strony miałam jednak obawy, jak przebiegnie spotkanie - czy będzie miło, czy wręcz przeciwnie. W duchu modliłam się, żeby Verton miał dobry humor i, do cholery, dostosowywał się pomału do danej obietnicy.

- Punktualna co do minuty - zza bramy wyłonił się Mistrz.

- Matko, wystraszyłeś mnie! - głęboko odetchnęłam, żeby uspokoić bicie serca.

- Wybacz, nie chciałem - zaśmiał się. - Daj to.

Zabrał ode mnie koszyk z jedzeniem.

- Nie musiałaś zakładać szkolnego uniformu.

- Teraz mi to mówisz? - popatrzyłam na niego z wyrzutem.

- Chociaż... - uśmiechnął się uroczo. - Muszę przyznać, że ślicznie w nim wyglądasz.

Rozbawiona przewróciłam oczami. Od Vertona wyraźnie biła pozytywna energia. To rozwiało moje wszelkie obawy. Postanowiłam dać ponieść się chwili i dobrze bawić.

Mistrz, jak przystało na króla, na wyjście w plener założył brązowe, masywne buty do kostek, ciemne spodnie, koszulę w kolorze czekolady oraz bursztynowy płaszcz zapinany na czarny guzik na brzuchu. Zdecydowanie miał lepszy strój od mojego. Miałam nadzieję, że będziemy się trzymali tylko głównych ścieżek, inaczej spódniczka, a na pewno podkolanówki mocno by ucierpiały.

Mijaliśmy świeżo zazielenione drzewa i krzewy. Gdzieś tam pojawiały się pierwsze kwiaty. Jak to zwykle rano, było dość rześko. Wiatr ostrożnie gładził nasze policzki. Las pachniał żywicą i rozkładającym się drewnem. Wśród gałęzi rozrabiały ptaki, śpiewając na cały głos. Moja dusza się unosiła. Czułam się tak błogo. Mogłabym tak całymi dniami nie robić nic innego, tylko spacerować i obserwować przyrodę. Nagle Verton rozpiął swój płaszcz i założył go na mnie.

- Nie trzeba - nie chciałam włożyć rąk do rękawów.

- Nawet nie próbuj się opierać - zapinał guzik. - Przecież widzę, że masz już rumieńce - dotknął moich dłoni. - A palce

cholernie zimne – poprawił mi kołnierzyk.

Uśmiechnęłam się ukradkiem. Poczułam ciepło, ale to wewnętrzne, na sercu. Verton potrafił być jeszcze człowiekiem. Już mieliśmy ruszyć dalej, gdy odwrócił się do mnie z zatroskaną miną. – Przepraszam.

– Za co? – byłam ciekawa jego odpowiedzi.

– Za wczoraj, że byłem taki oschły, stanowczy. Obiecowałem ci poprawę, że wróci ten stary, dawny Verton.

– Przestań – wyszeptałam łagodnie.

– Nie. Nawet nie przypomniałem ci o odpowiednim stroju. Gdzie się podziała moja opiekuńczość? – złapał się za głowę i uczeplił palcami włosów.

Czułam, że dzieje się z nim coś nie w porządku. Nawet przy mnie zawsze za wszelką cenę starał się być twardy, aby tylko nie ukazać krzty słabości.

– Przecież o to mogłam i sama zadbać. Wiedziałam, że nie ma jeszcze lata – podeszłam do niego, zdjęłam mu rękę z głowy i zacisnęłam je w swoich dłoniach. Patrzyliśmy sobie czule w oczy.

– Oboje musimy wrócić na właściwe tory – mówiłam łagodnie. – Ale do tego potrzebujemy czasu. Nie wymagam od ciebie niemożliwego. Wiem, że jest ci trudno. Przed służbą, uczniami, ludem, Senatorami musisz być twardy, nieustępliwy, zdecydowany. To nie jest proste nagle znów odnaleźć w sobie spokój, opanowanie, otwartość, a po kilku chwilach natychmiast przybrać kamienną twarz.

– Ann... – wyszeptał i mnie przytulił. – Teraz dostrzegam,

jak wiele mamy wspólnego. A ja oczekiwałem, że po tylu godzinach ukrywania emocji, właściwych odczuć, przyjdiesz do mnie i z łatwością opowiesz, co ci się przydarzyło – bardzo mocno mnie tulił. – Cieszę się, że rozumiesz – poczułam ogromną, ale to ogromną ulgę. Nie dość, że jego słowa były jak najbardziej szczere, to w końcu poczułam tę, wydawać by się mogło, umierającą nić porozumienia. Jeśli tylko oboje będziemy chcieli i będziemy nad sobą pracować, osiągniemy szczyt w naszej relacji. Koniec z podejrzliwością, naciskaniem, zamkniętą duszą. Potrzeba czasu, a wszystko wróci do normy.

Szliśmy dalej, lżejsi o wyrzucone negatywne emocje. Po chwili spostrzegłam, że trzymaliśmy się za ręce.

– Verton – spojrzałam na niego. – Chyba nie powinniśmy...  
– zaczęłam nieśmiało.

– Co? – spojrzał na splecione dłonie. – Ach, to. Nawet nie myśl, że cię puszczę.

Zrobiło mi się miło.

– To świetnie, ale jak ktoś nas zobaczy, to...

– To niech sobie myśli, co chce – dokończył za mnie.

Zupełnie mnie zaskoczył. Zawsze dbał o swoją nieskazitelną opinię.

– Poza tym kogo spotkamy o tej porze w lesie? – mówił. – Dzieciaki w szkole, rodzice w pracy. Poza tym to jest nasz teren i nikt spoza Akademii czy zamku nie ma prawa tu przebywać.

– No właśnie. A jak jakaś służka wybrała się na chwilowy

spacer? – zagadnęłam.

– To doskonale wie, że jak tylko coś piśnie, może źle skończyć.

– Wprowadziłeś brutalne rządy – powiedziałam z nutką ironii.

– Dyscyplinę, kochanie, a to jest bardzo ważne – patrzył na mnie.

– Nie zaprzeczam – uśmiechnęłam się do niego, a on do mnie.

Doszliśmy do niewielkiej polany. W kwietniu trawa dopiero lekko się zieleniła i ledwo wysokością przekraczała podeszwy. Naokoło był mur z drzew i owocowych krzaczków. Słońce wreszcie przegnało chmury i świeciło pełną mocą. Wiatr nadal pozostał nieśmiały.

– W koszyku jest też kocyk – Verton się do mnie uśmiechnął.

– Idźmy gdzieś, gdzie jest słońce – podpowiedziałam.

Verton rozkładał koc, a ja rozkoszowałam się zapachem kory i żywicy. Obok nas przeleciał cudnie ubarwiony ptak.

– Myślałem, że zizki wyginęły – Mistrz rozłożył też jedzenie.– Co wyginęło? – usiadłam. Ziemia nadal była zimna.

– Zizki – podał mi kubek gorącej herbaty. – Ptaki o niebieskich piórach i szarym grzebyku. Cholernie mądre bestie. Były użyteczne podczas wojen. Swoim szybkim i chaotycznym lotem uprzedzały natarcie wroga. A gdy wróg już zdążył zakraść się do państwa, wydawały przeraźliwy

skrzek. Dlatego były częstym celem – upił łyk herbaty. – Podobno gdy się urodziłem, żyły jeszcze pojedyncze osobniki.

– Ale jak go rozpoznałeś? Przeleciał dość szybko – pytałam zdziwiona.

– Siedzi tam, na gałęzi – wskazał palcem. Obróciłam się w prawo. Zizka czyściła sobie skrzydełka. Rzeczywiście wyglądała tak, jak opisywał ją Verton. Miała niewiarygodnie długie, czarne nogi.

– Mam pomysł – powiedział. – Z tego, co wiem, one są zupełnie nieobłąskawione i jeszcze nikomu nie dały się dotknąć.

Masz – podał mi nasiona słonecznika. – Nakarm ją.

– Ja? – spytałam zaskoczona.

– Mówiłem, że chcę sprawdzić twoje magiczne umiejętności – odparł z ironicznym uśmiechem.

– Ale przecież sam mówiłeś, że one są dzikie – nie ustępowałam.

– Wierzę w twoje możliwości – zjadł parę suszonych moreli.

Prychnęłam.

– Spróbować zawsze można – westchnęłam.

Skoro nikt nie mógł jej tknąć, oznaczało to, że była odporna na magię. Patrzyłam w jej stronę, skupiłam całą energię, wyciągnęłam dłoń z nasionkami. W duchu powtarzałam komendę: „Przyleć i zjedz, zaufaj mi”. Trwało to chwilę. W końcu się poddałam. – Widzisz – popatrzyłam na Vertona rozczarowana. – Nie ma opcji. Dzicz to dzicz.



– Za szybko się poddajesz – skomentował. – I za mało wierzysz w swoje możliwości. Wiem, co mówię – mrugnął do mnie.

No tak. Był najlepszym magiem na świecie, więc mógł sobie gadać takie rzeczy. Do niego pewnie przyleciałaby po dwóch sekundach. Spróbowałam jeszcze raz. Wyciągnęłam dłoń, skupiłam energię, powtarzałam w myśli tę samą komendę. Tym razem pozwoliłam sobie uwierzyć, że to, co robiłam, było jak najbardziej możliwe. Zizka odwróciła łebek w moją stronę. Poruszyła skrzydełkami, zaczęła w miejscu. Moja pewność siebie sięgnęła wszelkich granic.

– Nie odpuszczaj – szepnął Verton.

Czułam, jak bacznie mnie obserwował. „Zizka, do mnie!”. Ptaszek nagle wzbił się w powietrze. Nie spuszczałam go z oczu. Rozpędzony leciał w moją stronę. Przemknęło mi przez myśl, że chce mnie zaatakować. Jednak nie traciłam wiary w samą siebie.

– Brawo! – zaśmiał się Verton. Zizka nie tylko zbliżyła się do mnie, lecz także usiadła mi na ręce i z niej wydziobywała nasionka, uważając przy tym, aby nie zranić mi skóry. Serce zaczęło mi szybciej bić, a ciało drżeć. Spojrzałam na Vertona. Miał melancholijny wyraz twarzy.

– Drugi raz w życiu widzę zizkę z tak bliska – zaczął. – Gdy byłem w twoim wieku, też udało mi się ją nakarmić.

– To dlaczego mi się tym nie pochwaliłeś? – byłam zaskoczona. – Przecież to wielki sukces.

– Ty osiągnęłaś więcej – patrzył na mnie z dumą. – Tobie

usiadła na ręce, ode mnie nasionka zabierała w locie.

Nagle poczułam, że mu współczuję. Żal mi go było. Żal, że nie osiągnął dokładnie tego, czego oczekiwał. Osobiście chciałam tylko, żeby zizka zabrała ode mnie choćby nasionko. Otrzymałam więcej, niż się spodziewałam. Często tak było w przypadku zwierząt.

Pamiętałam, jak na własną rękę, w wieku może dwunastu lat, próbowałam oswoić wilka, a przynajmniej dotknąć go koniuszkiem palca. Fascynował mnie. Był niebezpieczny, tajemniczy, a zarazem jego futro było jakby stworzone do głaskania. Nikt o tym nie wiedział. Vertona powiadomiłam po fakcie, to jest po śmierci Milczka. Nadałam mu nawet imię. Spacerowałam po lesie. Nagle usłyszałam szelest w krzakach. Spojrzałam w ich stronę, ale nic tam nie było. Szłam dalej. Zrobiłam parę kroków i znów coś zrobiło hałas. Nie wytrzymałam i użyłam magii. Wtedy jeszcze nieudolnie szło mi wykrywanie różnych rzeczy. Świat przed oczami pojawił się w sepii. Chciałam znaleźć coś, co wywoływało ruch liści. Zobaczyłam jakiś niewyraźny kształt. Po sekundzie powróciły normalne kolory. Byłam na siebie zła, że tak mało jeszcze potrafiłam. Odwróciłam się, by iść dalej. Usłyszałam za sobą cichy warkot. Stanęłam jak wryta z przerażenia. Pomału spojrzałam za siebie. To był ten wilk. Miał cudne żółte oczka. Wiedziałam, że albo on mnie zabije, albo ja jego. Ale uświadomiłam sobie, że mogłam go oswoić. Już wtedy miliony wiewiórek, ptaków, leśnych myszy czy jeży podchodziły do mnie bez strachu czy agresji. Ogólnie zwierzęta (oprócz, jak widać, zizki), dopóki im się nie

pomogło, nie były odporne na magię. Łatwo się nimi manipulowało. Wydawało mi się, że tę umiejętność wyćwiczyłam dość dobrze, by podziałała na wilka. „Chodź do mnie, podejdź tylko trochę bliżej, bez strachu i złości” – powtarzałam w myśli. Wilk pokazał jeden swój kieł i znów zawarczał. Nie powiem, nie upewniło mnie to w mojej decyzji, ale się nie poddałam. Starłam się zachować spokój, by go bardziej nie rozdrażnić. Po chwili zwierzę złagodniało i pomału zbliżało się do mnie. Przystanęło, gdy dzieliły nas dwa małe kroki. Spokojnie i powoli wyciągnęłam rękę, stale powtarzając w myśli, żeby się nie bał. Chciałam dotknąć go koniuszkiem palca, a udało się całą dłonią. Pogładziłam go po głowie. Później obwąchał mnie i dał się głaskać dalej. Przez cały tydzień zacieśniał naszą więź. W ostatni dzień nawet zaczęliśmy się wspólnie bawić. Dzięki niemu uwierzyłam w swoje zdolności. Uczucia okazywał, skacząc i tuląc się do mnie. Był cudnym towarzyszem.

Przez kolejne dni nie przychodził. Myślałam, że poszedł gdzieś ze stadem albo coś w tym rodzaju. W naszym lesie nie było żadnych niebezpiecznych zwierząt, myśliwi już o to dbali, dlatego przemknęło mi przez myśl, że może Milczkowi stało się coś złego. Raz, przypadkiem, trafiłam na rozmowę Wielkiego z jednym z myśliwych. Mówił mu, jak to od dłuższego czasu tropił wilka w naszym lesie. Było trudno, bo dobrze się krył. Ale przyłapał go przy jednym z owocowych krzaków – to było miejsce naszych spotkań. Czekał na mnie... Wezbrały się we mnie złość i rozpacz. Podeszłam do nich. Myśliwy nie zdążył się nawet ze mną przywitać, bo z całej

siły uderzyłam go pięścią w brzuch. Byłam zbyt mała, by coś więcej zrobić. Patrzyłam, jak się krztusił i zgiął w pół. Verton był oburzony, a ja, niewiele myśląc, pobiegłam do pokoju. Odbyłam poważną rozmowę z Mistrzem, dostałam opieprz, ale i pochwałę za rozwijanie zdolności. Skończyło się na obolałej dłoni oraz miesięcznym zakazie spacerów po lesie.

– Zbierajmy się stąd – powiedział Verton, gdy skończyliśmy jeść drugie śniadanie. – Nie chcę, żebyś się rozchorowała od tej zimnej ziemi.

– Już Stephan by o mnie zadbał – pomogłam mu składać koc.

– Nie wątpię – uśmiechnął się. – Ale i tak miałbym wyrzuty sumienia.

Szliśmy dalej główną ścieżką w głąb lasu. Bardzo miło nam się gawędziło. Przez jakiś czas zizka dotrzymywała nam towarzystwa, latając obok.

– Widzisz tamten kwiat? – spytał Verton, wskazując na zamkniętą lilię. – Pomóż mu się otworzyć.

Kiwnęłam głową. Podeszłam do roślinki. Delikatnie i z uczuciem otwartą dłoń przesunęłam nad lilijką. Z ręki wydobywało się ciepło i złotawa poświata. Już po sekundzie niewinnie biały kwiat rozłożył swoje płatki. Zadowolona wstałam z klęczek.

– Brawo – Verton był wyraźnie ze mnie zadowolony. Objął mnie ramieniem i poszliśmy dalej.

– Teraz – odezwał się po kilku krokach – spowolnij lecącego przed nami kruka.

Wyciągnęłam rękę, uniosłam dłoń, jakbym chciała kogoś zatrzymać. Skupiłam uwagę na czarnym, pierzastym stworze. Bez jakichkolwiek problemów ptak zaczął zwalniać, aż w końcu poruszał się wolniej niż uciekająca wiewiórka.

– Wspaniale – zachwycał się Verton. – Spróbuj zawrócić go, żeby przeleciał nad nami. To już było trochę trudniejsze. Wpływałam głębiej na wolę innego stworzenia. Obróciłam dłoń wewnętrzną stroną ku górze. Zamaszystym ruchem zgięłam rękę w łokciu, zbliżając dłoń do twarzy. Ptak bez żadnego oporu zawrócił i swobodnie przeleciał nad naszymi głowami.

– Jeśli tak samo potrafisz wpłynąć na ludzi, to jesteś potężniejsza, niż sądziłem – Verton obserwował kruka. Poczułam się taka dumna i zadowolona! Najbliższa mi osoba doceniła moje umiejętności, pochwaliła mnie!

– Dobrze się czujesz? – spytał z troską.

– Jak najlepiej – uśmiechnęłam się.

Używanie magii, w zależności od celu i zastosowania, zabierało wewnętrzną energię, przyprawiało czasem o ból głowy, a nawet zasłabnięcie w ekstremalnych warunkach. To tak, jakbym pracowała kilkanaście godzin fizycznie przy przenoszeniu kilkudziesięciu kilogramowych cegieł. Czasami tak się czułam, gdy długo ćwiczyliśmy na zajęciach skomplikowane czary, ale zdarzało się to dość rzadko. Ogólnie byłam bardzo silna i odporna na magiczne zmęczenie.

– Ostatnia rzecz na dzisiaj – zapowiedział Mistrz, gdy doszliśmy do ogromnego głazu. – Podniesiesz go na kilkanaście

centymetrów i przesuniesz o milimetry dalej.

To już było wyzwanie. Kamień mógł ważyć tony, był wysoki na ponad trzy metry. Kosztowałoby mnie to sporo wysiłku, ale po tylu sukcesach i tak miłych słowach wiedziałam, że sobie poradzę. Verton trzymał mnie za rękę. Drugą wystawiłam przed siebie prostopadle do kamienia. Skupiłam w sobie całą energię. Pomału podnosiłam głaz. Czułam, jak każdy mój mięsień się naprężył, a stawy próbowały znieść narzucony ciężar. Z trudem oddychałam, jakbym gołymi rękami unosiła tę szarą, zbitą masę. Kontrolowałam każdy swój ruch. Nieznacznie przesunęłam rękę w prawo. Kamień podążył za moim rozkazem. Wraz z silnym wydechem opuściłam kończynę. Ziemia delikatnie zadrżała.

Głęboko oddychałam.

– Kochanie, to było niesamowite – Verton mówił jak zaczarowany. – Wczułem się w twoją energię. Absolutnie perfekcyjnie panujesz nas przepływem magi, ilością jej użycia. Aż dreszcz przebiegł mi po skórze.

To były jak najszczersze słowa, jakie usłyszałam. Uradowana, z motylkami w brzuchu, rzuciłam mu się na szyję.

– Jestem z ciebie taki dumny – szepnął Mistrz. Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy radości. Kiedy byłam taka szczęśliwa?

Chyba w poprzednim wcieleniu...

\* \* \*

- Chciałabym zobaczyć tę zizkę – mówiła Diana. Szłyśmy wspólnie na obiad, a ja opowiadałam jej o moich przeżyciach. Ona także była ze mnie bardzo zadowolona.

- Następnym razem możemy wybrać się na spacer do... – nie zdążyłam dokończyć, bo w tej chwili obok nas znalazł się Felix.

- Karta oddana – wtrącił się bezczelnie.

- Świetnie – skomentowałam obojętnie.

- Mam nadzieję, że to gówniane zakłęcie zniknie – warknął.

- A ja mam nadzieję, że byłeś szczery i Fab rzeczywiście może przychodzić po posiłki – odgryzłam się.

Felix prychnął i poszedł do jadalni. Przy drzwiach wejściowych odwrócił się.

- To prawda, że szybciej zyskujesz sobie wrogów niż przyjaciół – zmrużył oczy.

Szedł dalej w swoim kierunku.

- Nie przejmuj się, Ann – Diana pogładziła mnie po ramieniu.

- Coś ty, na takiego debila szkoda zdrowia – powiedziałam.

- Wyjaśnię ci przy stole, o co mu chodziło.

Felix mówił prawdę. Ochoczo zajadał ziemniaczaną zapiekankę. Skończył ją chyba w dziesięć minut. Nie wytrzymał nawet dnia bez jedzenia. Miałam nadzieję, że to go czegoś nauczy. „Zyskuję sobie wrogów...”. To nie moja

wina, że jestem zwolenniczką zemsty oraz pouczenia przez czyny. Nie każdemu się to podobało. I wcale nie musiało...

\* \* \*

– Musiałaś się wpieprzyć? – Fab był na mnie zły.

– A miałam patrzeć, jak Felix dalej cię krzywdzi? – nie rozumiałam go.

– Poradziłbym sobie – nie ustępował.

– Wybacz. Chciałam tylko pomóc – rzuciłam rozgoryczona.

– Pogorszyłaś tylko sytuację. Teraz jestem jego wrogiem numer jeden. Ty jesteś druga.

– Ale przynajmniej masz teraz co jeść. Czy to nie ważniejsze?!

W ogóle nie spodziewałam się po nim takich słów. Nie chciałam wdzięczności, ale spodziewałam się jednak, że będzie zadowolony!

– Co mi po tym, jak nie będę miał życia w tej zasranej szkole – Fab patrzył przez okno.

– Co ty pieprzysz?

– Dzień w dzień będę musiał znosić jego fochy.

– Kiedyś z pewnością mu przejdzie.

Fab pokręcił tylko głową. Jakim cudem trafili do tego samego pokoju?! Przecież sami sobie wybieraliśmy współlokatorów. Specjalnie wszyscy w pierwszej klasie przyjeżdżaliśmy dwa dni przed rozpoczęciem roku, żeby się



poznać i dokonać wyboru. Tylko ja i Diana nie miałyśmy takiej możliwości, bo byłyśmy jedynymi dziewczynami w klasie, a raczej unikano damskomęskich łączeń.

– Dobra, na kilometr widzę, że coś ukrywasz i nie chcesz się tym dzielić. Pójdę już – wstałam z łóżka przygaszona.

– To nie tak – Fab złagodniał.

– To znaczy? – spytałam obojętnie.

– Jakby nie patrzeć, to mi pomogłaś. Dziękuję.

Kiwnęłam głową.

– Coś jeszcze? – miałam zamiar już wyjść.

– Wiem, że od dłuższego czasu nasza znajomość bardzo się rozwija. Należałyby ci się jakieś wyjaśnienia – patrzył w kołdrę.

– Nie wymagam tego, choć wyklarowałoby to sytuację.

– Siadaj, to postaram się ci to opowiedzieć – zachęcał.

Powróciłam na swoje miejsce, sadowiąc się na łóżku obok nóg Fabi. Co mnie czekało? Po jego minie wnioskowałam, że nic wesołego...

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

